№ 28. Piątek, dnia 9 Kwietnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE Tygodnik

WARSZAWA
dnia 28 Marca (9 Kwietnia)
1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; —
kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Bielańskiej
Nr 8 nowy.

NA CMENTARZU.

WSPOMNIENIU ZMARŁEJ CÓRECZKI SWOJEJ

POŚWIĘCA

Bogumił Aspis.

(Ciąg dalszy).

VI.

Śpią snem cichym umarli... Nad snem ich,
[milczące,
Patrząc zimno na groby, czuwa Przezna-
[czenie—
Głowę Starca muskają jasnych gwiazd pro-
[mienie,
W jego myśli—jak w toni—przegląda się
[słońce...
Możne stopy oparłszy o posłuszną ziemię,
Co u nóg mu jak lwica uśmierzona siadła,
Rządzi życiem—tu, w piekieł okropne wi-
[dziadła,
Tam znów... w twarze aniołów strojąc ludz-
[kie plemię.

Tu mdła Zazdrość, zwracając żółte oczy
[w stronę,
Gdzie mieszka Miłość słodka, rozwodzi
[w głos żale —
Owdzie Zemsta w namiętnym, rospasanym
[szale
Plująć krwią, na świat szczerzy zęby zabru-
[dzone —
Tam Niewinność w osobie cudownej dzie-
[wicy,
Z koszem kwiatów przez ziemię biegnąc
[rozśpiewana,
Drwi z Mądrości,—co w wielką księgę za-
[czytana,
Nie może się ostatniej doczytać stronicy—
Nadzieja—tam—pod śliczną postacią dzie-
[weczki,
Za ptakiem Szczęścia goniąc, ku drzewku
[się wspina,
Gdzie skrzydełka do lotu rozwodząc ptaszy-
[na,
Stokroć złowion — do setnej zbiera się
[ucieczki—
Rozpasana Rozpusta, jak wąż tam znów
[syczy,
Że nie może zaporą stanąć dumnej Cnocie,
Co stopą bieluteńką, po brudnem jej bło-
[cie,
Nieskalana precz idzie... w przepasce dzie-
[wiczej!
Harda Sława, w girlandy z laurów wystro-
[jona,
Przeskoczyć tam znów jakąś przepaść się
[zabiera —
Skoczyła—i, brzeg depcząc nogą bohatera,
Upada nagle w Śmierci kościstej ramio-
[na!
Biedna Rozpacz, na kostur niemocy opar-
[ta,
Kulejąc, za Boleścią chwiejnym krokiem
[zmierza—
Tam znów Kaprys na wieżę się garnie...
[a wieża,
Z papieru zbudowana... tyleż co on war-
[ta! — —

Wszystkie te widma,—wziąwszy,—tu jaw-
[nie, tam skrycie,—
Na rozkaz *Przeznaczenia*, ludzkie na się
[ciało,
Toczą z sobą bój wieczny... na tę ziemię
[całą
Szerokie, nieskończone, rozrzucając Ży-
[cie!

* * *

O Starcze! ty wiesz jeden, jaki cel jest te-
[mu...
Dlaczego pada wszystko pod śmierci żela-
[zem —
Czemu w grób wspólny idzie Rozkosz
[i Ból razem—
Ty wiesz jeden: czem śmierć jest? i żyjemy
[czemu?
Więc powiedz—po cóż przyszła na świat ta
[maleńka,
Która rączki swe drobne, z głębi tam ko-
[łyski
Wyciągając do życia, po same uściski,
Zgasła jednak... jak motyl, co czując maj
[bliski,
Wybiegł na to, by śmierci dotknęła go rę-
[ka?

(*D. c. n.*)

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE

od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

Obfitość podań do Ś-go Wojciecha się odnoszących a z jeszcze południowszą Rudą się wiążących, zdaje się potwierdzać mniemanie, że to w nowem, z łaski Chrobrego, zrazu bardzo rozległem mieniu swego brata Sobiebora, apostoł ten utrwalił się tak w pamięci mieszkańców. Wieś „Witów" koło Bużenina istniejąca jest może wspomnieniem ulubionego Czech świętego: Ś. Wita (zamiast Swantewita) którego z sobą Poraici przyniešli.

Jeszcze jedna odrośl Porajów w XII wieku mieszkała w Karwowie nad rzeką Łukową, pod Opatwem, w Niekisiałce, Okalinie, Gorizowie—i stąd wyszedł kronikarz Wincenty syn Bogusława (Kadłubek) a jeszcze inna jakeśmy wspomnieli w Kurozwękach. Niezdaje się jednak to być gniazdo pierwotne, nadane Sobieborowi po katastrofie Ogdlińskiej przez Bolesława-Magnusa.

Czy Sobiebór, aż do 1004 r. w którym śmierć go spotkała, niepojawił się w Czechach korzystając z dziwnego biegu ich dziejów, trudno napewno zaprzeczyć, jak też i trudno jest dowieść. Po śmierci mordercy rodu Poraitów, objął 999 r. władzę w Czechach Bolesław III Rudy, który obawiając się rywalizacyi swych braci Jaromira Oldrzycha, pierwszego wyzuł z nadziei i możności ojcostwa, drugiego, choć nadaremnie, pokusił się w łaźni zadławić; wreszcie obu wraz z matką z Czech wygnał, a pozostałe ich stronnictwo okrutnie jął prześladować. Niedługo to trwało. Czesi, niezdolni dłużej jarzma okrutnika znosić, taje-

mnie ślą do Polski gońców z wezwaniem, aby znany nam już Włodowej Mieszkowic przybył objąć nad Czechami władzę.

Wezwany przybył, i dla pokrewieństwa z wygnańcami jednogłośnie przez Prażan księciem jest ogłoszony. Kiedy z jednej strony Rudy uchodził do Henryka margrabiego Szwejnfurckiego, i tam po chwilowem uwięzieniu, odzyskawszy wolność, pośpiesza „wiedziony miłością życia,“ do Bolesława Polskiego syna swej babki ciotecznej, i imiennika „równego sobie (mówi Dytmar) co do zbrodni, ale nie potęgą;“ z drugiej strony Włodowej, już obrany przez Czechów, staje w Ratyzbonie na Ś. Marcina (11 Listopada) 1002 r. na dworze nowego króla Niemiec Henryka II; owczesnym sposobem, składa swe ręce w dłonie monarchy, przysięga mu wierność lenniczą, i zyskuje za to (jak brat) swe księstwo elekcyjne (jak tamten dziedziczne) prawem feudalnem. Adelbold, biskup utrechcki († 1027) zwolennik Henryka, nazywa Włodoweja Włademarem i przypisuje Henrykowi II chęć zjednania sobie tą intronizacyą w Czechach brata Bolesławowego „przychylności innych.“ W istocie może rzeczywiście król chciał sobie w ten sposób zjednać Bolesława-Magnusa, który snać brata kochał, skoro pozwolił mu spokojnie rządzić Czechami, lubo później one wydarł swym siostrzeńcom, po zgonie Włodoweja (przed postem 40 dniowym a po 2 lutego 1003 r.). A zjednać Bolesława miał Henryk tym większy powód, że mimo wszelkich niezmiernych pieniężnych darów, ze strony księcia polskiego składanych Henrykowi II aby otrzymać w beneficyum i margrabstwo miśniejskie, oprócz sobie danych łużyckiego i milzieńskiego; król ten ledwo zgodził się oddać Miśnią Guncelinowi „bratu“ Bolesława z Dąbrówki (?) a hrabiemu na Kukesburgu. Książę polski wielce był z tego niezadowolony, i ułożył się nawet cichaczem z Guncelinem, że tenże na pierwsze wezwanie otworzy bramy miasta Miśnii polskiej załodze. Henryk łagodząc odmowę swoją co do Miśnii, ustępstwami gdzieindziej czynionemi, infeudował jak widzieliśmy Włodoweja w Czechach gwoli Bolesławowi, a ze szkodą Oldrzycha i Jaromira. Powrócili oni dopiero po zgonie Włodoweja, choć nienadługo, bo Bolesław „rządca Polaków,“ do powtórnej ich ucieczki zmusił, i władzę nad Czechami oddał swemu imiennikowi, Bolesławowi Rudemu. Uczynił to nasz Bolesław przeczuwając, że ten jego siostrzeniec mścić się będzie na sprawcach swego wygnania, a przez to nastręczy może lepszą sposobność zagarnięcia Czech, jak obecnie. Rudy niezawiódł w tym względzie krewniaka polskiego. Zwoławszy wszystkich swoich magnatów do jednego domu, najprzód swego zięcia, własnoręcznie rażąc go w głowę, uśmiercił, innych pospołu z swoją drużyną wyrżnął, w samą wstępną niedzielę postu. Na wieści o tej zbrodni, inni ślą tajemnie do Bolesława-Magnusa z prośbą o ratunek. Pod pozorem jakichś ważnych układów, wzajemną korzyść mających na celu, wzywa polski książę czeskiego do jakiegoś zamku na zjazd w niewielkim poczcie zaufanych. Gdy Rudy stawił się, przyjęto go zrazu uczciwie; ale już następnej nocy wydarto mu oczy, i na wygnanie w dalekie strony wywieziono.

Pamiętając, że Czesi dla tego iż się obawiali zemsty ze strony biskupa Wojciecha za wyrżnięcie braci w Lubicy szorstko odrzucili ostatnie jego propozycye powrotu,—łacnie byśmy mogli przypuścić, iż Sobiebór żywił istotnie to uczucie, i jako świecki, łacniej je od Wojciecha lub Radyma mogąc zadowolnić, niebył obcym aktowi kaźni, i zarazem wiekuistej detronizacyi Rudego. Oślepienie sprawcy, i może spółsprawcy rzezi Cydlińskiej było pierwszą, słodką, zemstą Sobiebora. Wtórą, ale, jak dla naszych wyobrażeń, smutniejszą tegoż samego rodzaju uciechą trzeciego Poraity było wstąpienie przy boku Bolesława-Magnusa do stolicy pragskiej, i widok upokorzonych przed swym opiekunem nieprzyjaciół. Z pewnością teraz i Sobiborowi bito czołem. Przyjaciel nowego Czech władcy, który dwu pozostałych synów mordercy znad Cydliny od tronu usunął, w uczuciu zadowolonej choć tak słabo zemsty, zapominał o upokorzeniu swej ziemi. Tak my sobie przynajmniej w wieku XIX położenie Sobiebora wystawiamy. Niedługo też przekonał się, że droga do Czech mu nazawsze zagrodzona, że tylko pod tarczą polskiego oręża bezpieczno mu bawić w ziemi swych przodków. Na wieść bowiem o elekcyi Bolesława na duka czeskiego, król Henryk II przez posłów zażądał odeń odbycia zwykłej „stosownie do praw starożytnych“ ceremonii. Podobnie jak to uczynił Włodowej, miał Bolesław Magnus lennik Niemiec z Miżawii Polski i Łużyc, za takiegoż się uznać i z czeskiego księstwa. Inaczej rozważył Mieszkowic.

Nagła śmierć zamordowanego w 1002 Ekihorda, który jak wspomnieliśmy, groźbą i prośbą przywiódł Bolesława w zależność swoję, przejęła tegoż księcia weselem. Duków Turyngii, pretendent do korony niemieckiej, w samą porę dla Bolesława padł ofiarą zemsty krewniaków—ile że zbyt potężny, zbyt bliski. Ile się zdaje dla tego też nasz Bolesław wystąpił, jako stronnik Henryka późniejszego cesarza, i za jego wiedzą i wolą osierociałe po zgonie Ekiharda margrabstwa zajechał, i obietnicą, że dopełni przysięgi lenniczej z nich, sprawił, iż (jak powiada Dytmar) podrzędni a niemieccy owych stron rządcy dotąd będący (przez Ekiharda) zwierzchnikami Bolesława, ten charakter „wrodzony“ zamienili na uległość, względem Mieszkowica, jako nowego „pana“ (suzerena).

Widzieliśmy, że istotnie w zamian hołdu Bolesław zyskał lennem Milzawią i Łużyce wraz z Polską—Miśnii mimo zabiegów niedostał. Do urazy za to, dołączyły się ważniejsze powody gniewu. Henryk, siostrzeniec Dytmara popierający wielce Bolesława w owych zabiegach, i gorąco go kochający, towarzyszył odjeżdżającemu, gdy naraz na obu tłuszcza zbrojna napada, jeszcze w przedsionku królewskiem w Magdeburgu. Ledwo przez wyłamane drzwi boczne, uratował Henryk Bolesława, a drużynę ostatniego, zrabowaną, od śmierci ledwo duk Bernard uchronił. Dytmar klnie się na Boga, że zamach ów na życie przyjaciół, bez wiedzy i woli króla nastąpił. Bolesław przeciwnie króla o to winował, i przyrzekłszy towarzyszowi pomoc, gdyby jej potrzebował, szybko do siebie wracał—po drodze zajęwszy Strelę (do Miśnii należącą) i rozsyłając wszędzie swych zauszników, aby poduszczali na króla.

(*D. c. n.*)

Z KRONIKI NAUKOWEJ.

Najnowsze odkrycia analizy widmowej.—Słoneczne pochodzenie ziemi.—Ustrój mgławic.—Wulkany na kuli słonecznej.—Olbrzymi teleskop angielski ułatwiający zbadanie księżyca.—Doświadczenia Kastnera z płomieniami śpiewnemi wodoru.—Fortepian ze świecy filozoficznej.—Wędrówki roślin.—Samobójstwo niedźwiadka.—Niszczenie lasów w Ameryce.—Słówko o projekcie połączenia Anglii z Francyą, za pomocą tunelu.—Notatka nekrologiczna.

Żyjemy w czasach niesłychanego rozwoju nauk we wszelkich kierunkach—myśl ludzka nie spoczywa na chwilę, śledzi zjawiska przyrody z pomocą misternych narzędzi fizycznych, bada zagadnienia życia i tajemnice przestrzeni. Zapoznawać chociaż pobieżnie ogół z tym ruchem, jest obowiązkiem, który z każdym dniem staje się więcej naglącym—z tego też względu, zamierzyliśmy odbyć wycieczkę w krainę wiedzy przyrodniczej.

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Sztuka krajowa poniosła znowu dotkliwą stratę przez śmierć ś. p. *Januarego Suchodolskiego*, najstarszego z naszych malarzy. Suchodolski uprawiał u nas, przez długi czas prawie sam tylko wyłącznie, malarstwo historyczne i *batalijne*. Z pomiędzy wielu prac tego zasłużonego artysty wymieniamy tu: *Śmierć Warneńczyka*, *Wyprawę Wiedeńską*, i *Bitwę nad Berezyną*, które zwróciły na siebie powszechną uwagę i dały dowód, że i w tym kierunku malarstwo nasze potrafiło zdobyć się na samodzielność. Suchodolski nie był mistrzem pierwszorzędnym—ale był człowiekiem wielkiej pracy i zasługi, a sztukę kochał dla niej samej i od czasu gdy się pod jej sztandar zapisał nigdy ani na chwilę go nie opuścił. W czasie największego u nas zastoju sztuk pięknych nie schodził on z raz obranego stanowiska, pracował gorliwie i wytrwale, swojskie zawsze do obrazów swoich obierając tematy i budząc do życia malarstwo w chwilowym będące letargu. Zasługa to niemała, która zapewni Suchodolskiemu piękną kartę w dziejach naszej sztuki malarskiej.

Pan Michał Czepiński, autor znanego i aż w czterech wydaniach rozpowszechnionego dzieła p. n. *Ogrodnictwo powszechne*, nową pracą przysłużył się ogółowi. Chcemy tu mówić o świeżo wydanej książeczce tego autora, traktującej *O uprawie wina w ogrodach*, do której dla lepszego objaśnienia tekstu dołączono dwie tablice, litografowane starannie w zakładzie pana Walkiewicza. Wykazuje w tem dziełku pan Czepiński, że wino u nas jak najlepiej hodować się daje i że uprawa jego, stanowiąca ważną gałąź sadownictwa, znajduje się w stanie upadku głównie z powodu naszego niedbalstwa a po części i braku znajomości rzeczy. Pragnąc zaradzić temu ostatniemu, napisał autor swoje dziełko, będące wybornym podręcznikiem, w którym przy uwzględnieniu miejscowych warunków, wskazuje w sposób jasny, dokładny, zrozumiały a zarazem praktyczny, jak się z winem obchodzić należy. Wydaniem tej książki, rzeczywiście pożytecznej, którą śmiało czytelnikom naszym polecić możemy, przysłużyła się nam drukarnia pod firmą Feliksa Fryzego i spółki, istniejąca od niedawna a gorliwie się krzątająca około wydawnictw, które własnym swym nakładem z godną uznania starannością dopełnia.

W zeszłym tygodniu Teatr Rozmaitości dał nam trzyaktową komedyą Emila Augier p. n. *Filiberta*, wierszem napisaną i wierszem również przełożoną na język polski przez pana Kazimierza Kaszewskiego. Przekład tej sztuki pod każdym względem wyborny, mógłby śmiało posłużyć za wzór do naśladowania tym zwłaszcza z panów tłómaczy, którzy lubią się porywać do przyswajania literaturze naszej, obcych, powszechnie uznanych arcydzieł, a którzy zapominają zwykle, że dla godnego oddania dzieła geniuszu w mowie rodzinnej, potrze

Dzięki analizie widmowej, tej cudownej metodzie badania, astronomia równie jak fizyka, pozyskały nowe drogi wiodące do tajemniczych dotąd światów.

Wiązka światła składa się z niezliczonych promieni, a każdy z nich z pomocą pryzmatu, rozdziela się na nieskończoną prawie liczbę promieni jeszcze subtelniejszych, różniących się przecież od siebie własnościami. Na podstawie tych własności, jedne z nich nazywamy *cieplikowemi*, drugie *chemicznemi*, a inne jeszcze *barwnikowemi*, gdyż wzrok może w nich barwy odróżniać. Te promienie świetlne poddane badaniu analizy widmowej, okazały, jakie ciała wchodzą w skład planet, pozostających od nas w ogromnej odległości. Pierwsze już występy nowej metody śledzenia owych ciał, pozyskały oklaski całego uczonego świata—wykryły one w słońcu też same składniki jakie znachodzimy na ziemi, a między innemi żelazo. Analiza widmowa nie wdarła się jeszcze swem przenikliwem okiem do głębi słonecznej kuli, a tem samem, nie mogła wyśledzić w niej złota, srebra, platyny; w każdym razie z dotychczasowych jej odkryć wypływa, że cały wszechświat *wytworzony został z jednakowych materyałów*. W dalszych poszukiwaniach rozwiązanem zostało zagadnienie, dotyczące słonecznego pochodzenia naszej planety. Kula ziemska czerpnęła ze słońca nietylko ciepło i światło, ale nadto materyą toż ciało niebieskie składającą.

Po otrzymaniu tak pięknego rezultatu, wypadało naturalnie stawić sobie pytania, czy ta jedność materyi, odnosi się tylko do naszego układu słonecznego, czy też rozpościera się po za jego granicami. Czy panuje tam gdzie sięgnąć nie może nasze oko — w gwiazdach najodleglejszych od ziemi?

W tym celu Huggins i Miller w Anglii, z analityczną drobiazgowością badali światło przez gwiazdy nam przesyłane, i wykryli w niem też same piarwiastki z jakich wytworzyło się słońce i ziemia, jakkolwiek stosunki zachodzące w układzie z sobą tych pierwiastków, znaleźli rozmaite.

Niedość na tem, też same elementy wykrywa obecnie nauka w mgławicach, w tych zawiązkach nowych światów. Tak więc w całym wszechświecie istnieje jedna materya.

Wspomnieliśmy tu o mgławicach, dodać winniśmy, że jedne z nich przedstawiają się w teleskopie jakby były złożone z pyłkowych cząstek słonecznych, inne zaś zachowują wygląd chmur świetlnych. Analiza widmowa okazała, że mgławice tego ostatniego rodzaju, składają się z gazów, a głównie z wodoru. Odkrycie to zawdzięczamy Hugginsowi.

Tak więc wodór, wchodzący w skład wody i gazów płonących—wodór najlżejszy ze wszech dotąd znanych gazów, znajduje się w całym wszechświecie. Otacza on słońce, płonie w gwiazdach, mieści się w mgławicach, których odległość od naszej planety wynosi miliony mil.

Analiza widmowa nie poprzestała jednak na tych trofeach—sięgnęła po jeszcze świetniejsze.

W czasie zaćmienia słońca, dostrzegamy na około jego tarczy wytryski płomieniste, rozpościerające się na kolosalną długość, i otoczone rozległą aureolą światła. Przed kilku laty, przy badaniu zaćmienia słońca, jakie miało miejsce w Azyi, zastosowano analizę widmową w celu bliższego poznania tych wytrysków, zwanych też *wyskokami*. Wówczas to dokonano najważniejszego odkrycia, a mianowicie, że wyskoki można obserwować za pomocą spektroskopu, *bez potrzeby oczekiwania na zaćmienie słonecznego ciała*.

Odtąd analiza widmowa, nie powrzestając na roli chemika, została optykiem, którego oko może dowolnie oddzielać promienie obce rozpatrywanemu przedmiotowi — zajmować się najsubtelniejszemi zjawiskami zachodzącemi w olśniewającym blasku słońca—i otrzymywać wiernie ich obrazy. Stała się ona nadto nieporównanym akustykiem, którego ucho wśród straszliwej kanonady artyleryi, umie odróżniać brzęczenie muchy.

Metodę takiego badania, zawdzięcza Francya Janssenowi—Anglia Lockyer'owi—Rzym Secchi'emu i Respighi'emu—Palermo Tacchini'emu.

Badania ich z pomocą teleskopu uwidoczniły, że słońce wytworzonem jest z jądra, stosunkowo biorąc ciemnego, oraz z powłoki nadzwyczaj świetlnej i przezroczej, nadającej temu ciału blask olśniewający. Warstwę świetlną otacza atmosfera płonącego wodoru, w której zachodzą wytryski par metalicznych, wypływających z głębin słońca. Wreszcie ta atmosfera wodorna, okoloną jest powłoką zawierającą również wodór, lecz w stanie gazu niezmiernie rozrzedzonego—gazu sięgającego w przestrzenie wielce od słonecznej kuli odległe. W zaćmieniach ta właśnie powłoka wytwarza największą część aureoli świetlnej, cechującej to zjawisko taką wspaniałością.

Wszyscy astronomowie w zjawiskach tych upatrują pewne podobieństwo, do ziemskich wybuchów wulkanicznych. Jakże wspaniałemi muszą być te wybuchy słonecznych gazów, w pośród których ziemia nasza reprezentowałaby zaledwie wielkość kamyczka! Jakże cudownem jest narzędzie, wykrywające tajemnice słońca!

Astronomii przybywa teraz w pomoc nowe, potężne narzędzie, a mianowicie teleskop zbudowany obecnie w Anglii. Największym z dotąd znanych tego rodzaju przyrządów, była luneta Alvana Clarke, w której średnica soczewki wynosiła 47 centymetrów, czyli przeszło $19^1/_2$ cali polskich.

Owoż średnica nowego teleskopu angielskiego, mieć będzie $63^1/_2$ centymetrów, to jest dwie stóp i prawie półtrzecia cala. Wspaniałe to narzędzie kosztowało drobnastkę — 1,500,000 rubli. Z pomocą tego kolosu teleskopowego, można będzie z wielką dokładnością badać księżyc. Odległość naszego satelity od środka ziemi, wynosi 51480 mil, czyli 60 promieni ziemskich—owoż odległość ta przy użyciu nowego teleskopu, zredukowaną zostanie do 15 mil, dla obserwatora. Nie potrzebujemy nadmieniać, jak doniosłe korzyści pozyska nauka, z badań na tej drodze innych ciał planetarnych.

W każdej pracowni chemicznej, znaną jest *świeca filozoficzna*. Doświadczenie to polega, na przeprowadzeniu płonącego wodoru przez rurę szklanną, w skutek czego gaz ten wydaje tony muzyczne, których siła zależy od wymiarów rury i rozległości, jaką w niej płomień wodoru zajmuje.

Fizyk niemiecki Kastner, użył takiej świecy filozoficznej, do rozmaitych doświadczeń, z których wielce ciekawe otrzymał wypadki.

I tak wprowadzając do rurki szklannej dwa płomienie wodoru, w ten sposób, aby zajmowały dwie trzecie długości rurki, licząc od jej podstawy dolnej, otrzymał dźwięki wibrujące do wtoru (a unissono). Dopóki płomienie pozostawały od siebie w pewnej odległości, tony muzyczne brzmiały, jak tylko jednak nastąpowało ich połączenie się, zaprzestawały głos wydawać.

Przy 22,6 cali długości rurki, średnicy 17,5 cali, płomienie wydawały ton *fa*. Gdy płomienie odosobnione utrzymywały się poniżej trzeciej części rurki, licząc od jej podstawy, ton stawał się silniejszym, aż do czwartej części w długości rurki.

W tym punkcie zbliżając ku sobie płomienie, Kastner otrzymywał ton jednozgodny.

Spostrzeżenia te posłużyły mu do zbudowania narzędzia muzycznego, wydającego dźwięk całkiem nowy, podobny do głosu ludzkiego.

Przyrząd ten zwany przez wynalazcę *Pyro-*

---

ba czegoś więcej jak dobrych chęci. Treści nowej komedyi, w skróceniu nawet, przytaczać nie będziemy, raz dlatego, że nam zbyt szczupłe miejsce na to nie pozwala, a powtóre, że sztuka o której mowa była już przed kilkoma laty drukowaną w osobnej książeczce i zapewne niejednemu z naszych czytelników jest znaną. Przedstawienie jej na scenie teatru rozmaitości nie było takiem, jakiego przy dzisiejszym składzie personalu naszego dramatu mogliśmy oczekiwać. Główną tego przyczyną była niezupełnie właściwa obsada ról, gdyż artyści, biorąc każdego z osobna, pracowali wedle sił swoich szczerze i sumienie. Tylko tytułowa rola Filiberty, powierzona pannie Romanie Popiel wyszła bez żadnego zarzutu. Artystka stworzyła z niej postać w najdrobniejszych nawet szczegółach skończoną, a przytem pełną wdzięku i prawdy. To też zdaje się, że Filiberta dzięki wewnętrznej swojej, choć czysto tylko artystycznej wartości, wybornemu przekładowi i grze panny Popiel, pozostanie na długo w repertuarze.

Cyrk Salamońskiego oddawna zapowiadany i przez zwolenników sportu oczekiwany z niecierpliwością—przybył do Warszawy i rozpoczął w zeszłą sobotę szereg przedstawień w umyślnie na ten cel wystawionym gmachu przy ulicy Włodzimierskiej. Wyznajemy w pokorze ducha, że ani znawcami, ani wielbicielami tego rodzaju *sztuk pięknych* nie jesteśmy. Dlatego też nie dajemy czytelnikom szczegółowego z tych przedstawień sprawozdania ograniczając się na wzmiance, że jeżeli świetne kostiumy, piękne konie, zręczni akrobaci, weseli na swój sposób *clownowie*.... no i przedewszystkiem *śmiałe* amazonki mogą panu Salamońskiemu zapewnić powodzenie w zawsze gościnnej, lecz dziś pustkami w kieszeniach świecącej Warszawie—to powodzenia tego pan Salamoński może być pewnym. Z drugiej strony publiczność może także liczyć na względy p. Salamońskiego i może się spodziewać, że za liczne odwiedzanie hypodromu doczeka się za parę miesięcy serdecznego podziękowania—no i może powtórnej obietnicy wybudowania w Warszawie stałego murowanego cyrku.

Ciekawym wspaniałych widoków natury i chcącym za 20 kopiejek ujrzeć wystawę wiedeńską—radzimy przejść się na Miodową ulicę—gdzie w domu dawniej Kochanowskich, pan Maliszewski urządził wystawę widoków stereoskopowych i megaletoskopijnych.

Wysokie postępy, jakie w ostatnich czasach uczyniła sztuka fotofraficzna i udoskonalenie przyrządów optycznych, sprawia to, że widz może zapomnieć o tem, iż na owe cudy natury lub pomysłów ludzkich, patrzy przez parę szkieł powiększających, siedząc na krzesełku. O ile wiemy p. Maliszewski wystawę swoję otworzył na czas nieograniczony, a obiecawszy co pewien czas zmieniać okazywane widoki, których liczba na każdą seryą 240 wynosi powinienby cieszyć się choćby tem powodzeniem, jakiego u nas dowiadczali obcy przedsiębiercy, za większą stosunkowo cenę—mniej dający zobaczyć publiczności.

fonem, składa się z trzech klawiszów, zgadzających się z sobą przedziwnie w wydawaniu tonów. Za każdem dotknięciem klawisza, zachodzi za pomocą bardzo prostego mechanizmu, komunikacya z przewodami doprowadzającemi płomienie do rurek szklannych. Naciskając na klawisze, płomienie wodorne natychmiast rozdzielają się, i wydają głos bezzwłocznie. Po odjęciu rąk od klawiszy, płomienie zbliżają się ku sobie i fortepian milknie.

Pyrofon jest niewątpliwie najosobliwszym przyrządem muzyki instrumentalnej, jaki zawdzięczamy fizyce.

Rośliny nie są pozbawione własności przenoszenia się; niektóre z nich a mianowicie wodne, mogą przechodzić w okolice bardzo odległe od ich miejsca rodzinnego.

Rośliny pełzające, odbywają wędrówki przedłużając swe łodygi lub podziemne korzenie. W wędrówkach tych woda i powietrze odgrywają ważną rolę. Wiatr, prądy morskie i rzeki, unoszą nasionka na dalekie przestrzenie. Obok tych przenosicieli, rośliny spełniają swe wędrówki z pomocą ruchów armii.

Po ukończeniu wojny franko-pruskiej, botanicy z niemałem zdziwieniem znaleźli na ziemi francuskiej, znaczną liczbę roślin przyniesionych przez wojska niemieckie. W departamentach Loiret i Loir-et-Cher, naliczono przeszło sto sześćdziesiąt gatunków roślin, przedtem tam nieznanych.

Czas zniszczył przynajmniej połowę tej liczby, a pozostała przychodnia flora, znika z każdym rokiem, nie mogąc się zaklimatyzować. Na płaszczyznach Bellevue w 1871 roku, gdzie krzewiły się bardzo biernie te przybysze, Bureau znalazł tylko jeden gatunek, a Gaudry dwie zaledwie odmiany. Rezultat ten, jest wypadkiem walki o byt, w której rośliny krajowe jako silniejsze i przywykłe do klimatu, bronią energicznie praw swego istnienia. Odwrotny stosunek znachodzimy w Nowej Zelandyi i na wyspach Oceanu Spokojnego, gdzie rośliny przyniesione z Europy, zagarnęły ziemię w posiadanie zwycięzywszy gatunki krajowe. Zresztą fakt podobny przejawia się na tej ziemi i z ludźmi. Krajowcy nikną, ustępując przed silniejszą rasą europejską.

Geographical Magazine, podaje ciekawe szczegóły wędrówek roślin, zachodzących w skutek poruszeń wojsk w rozmaitych epokach historyi. W XVI i w XVII wieku, armie tureckie przebiegające Europę, przyniosły z sobą rośliny wschodnie, które rozkrzewiły się na szerokim płacie od Pesztu do Wiednia, i do dziś dnia są ostatniem świadectwem starcia się plemion europejskich z barbarzyńcami.

W 1809 roku roślina środkowej i południowej Europy, zwana *Wiosnówką* lub *Mrzygłodem* (Lepidium Draba), nieznana przedtem w Anglii, przeniesioną tam została przez wojska powracające z nieszczęśliwej wyprawy na wyspę Wolcheron. Część tych wojsk wylądowała w Ramsgate, a słoma pochodząca z sienników żołnierzy, rzuconą została do starej kopalni marglu, należącej do p. Thompsona. Z tego miejsca roślina rozpleniła się tak szybko, że wkrótce zajęła w posiadanie większą część wyspy Thanet, gdzie przez długi czas nazywano ją *zielskiem Thompsona.*

W 1814 roku, wojska ruskie przyniosły z sobą rośliny z pobrzeży Dniepru i Donu, do doliny Rodanu a nawet w okolice Paryża. Niektóre z tych roślin stepowych, utrzymują się dotąd na ziemi francuskiej.

W 1872 roku, rośliny pochodzące z Algeryi i z innych pobrzeży morza Śródziemnego, również przeniesione zostały do Francyi, w skutek przechodu armii. W pobliżu Strasburga, w sianie rozdanem oficerom kawaleryi, Bulhinger wykrył przeszło ośmdziesiąt gatunków roślin, należących do flory algierskiej.

Na podobne przykłady, moglibyśmy natrafić we wszystkich wiekach i klimatach.

Ciekawy fakt zamieścił niedawno doktór Jousset, w dzienniku angielskim *Natura*: „Jednego poranku, powiada on, P. Bidié przyniósł mi wielkiego czarnego niedźwiadka, pochodzącego z Indyi południowych. Prawdopodobnie zwierzątko to zbyt długo odbywało swą przechadzkę nocną, i zbłąkawszy się nie mogło trafić do kryjówki. Zamknąłem pająka tego w pudełku oszklonem, i po południu mając więcej wolnego czasu, chciałem się przekonać jak się mój więzień zachowuje. W tym celu, umieściłem pudełko przy oknie wystawionem na promienie słoneczne. Światło i ciepło, zdawały się wielce drażnić mego niedźwiadka—przypomniałem sobie wówczas podanie, według którego, zwierzątka te będąc otoczone ogniem śmierć sobie zadają. Zrazu zawahałem się poddać więźnia tej próbie bolesnej—ciekawość jednak przemogła. Wziąłem zwykłą soczewkę i przepuszczałem przez nią zgęszczone promienie słońca, na grzbiet pająka. Jak tylko ciepło zaczęło go dogrzewać, zaczął jak szalony biegać w pudełku, plwać i syczeć. Nie zaprzestawałem doświadczenia obserwując go bacznie. Nagle zrozpaczony niedźwiadek, wzniósł ogon uzbrojony kolcem, i z szybkością błyskawicy zatopił go w swym grzbiecie. Skutek rany nastąpił bezwłocznie—przypatrujący się temu Bidié zawołał: „Zważaj, przebił się sam—już nieżywy.“ Wrzeczy samej po upływie trzydziestu sekund, niedźwiadek zakończył życie. Podaję ten fakt dla okazania, że zwierzęta mogą być samobójcami, i że nie które z nich posiadając jad, mogą go użyć jako trucizny dla odebrania sobie życia.“

Do zwierząt tej kategoryi, należą niezaprzeczenie niedźwiadki, odróżniające się od innych pająków ciałem przedłużonem w członkowaty ogon, w końcu którego mieści się przedziurawiony kolec osadzony na pęcherzyku jad zawierającym. Ukłucie jest zawsze zabójczem, gdyż z pomocą wydrążonego kolca, trucizna przechodzi do ciała.

Kwestya zaradzenia ubytkowi drzewa, jest na porządku dziennym nietylko w Europie ale i na drugiej półkuli. Wyniszczenie lasów w Ameryce, wywołuje żywe obawy ludzi, którzy nie mogą bez niepokoju spoglądać w przyszłość. Rozległe obszary tej ziemi, są dziś prawie całkiem pozbawione roślinności—zaledwie w połowie terytoryum Waszyngtonu, a w jednej trzeciej Oregonu, krzewią się jeszcze drzewa wyniosłe. Kalifornia uległa straszliwej trzebieży—w ciągu trzech lat z 500,000 akrów gruntu zarosłego lasem, połowa poświęconą została na potrzeby przemysłu. Prześliczne klony, kasztany i orzechy, zniszczono z szaloną nieoględnością—dość powiedzieć, że miliard stóp sześciennych drzewa budulcowego, zużytym został w ciągu roku! Przy takiej konsumcyi, za lat dziesięć nie będzie jednej sztuki drzewa—zasoby tej ziemi bogatej wyczerpną się, a wtedy cóż poczną amerykanie?

Toż samo dzieje się w Michigan i w Minnesota. Wspaniałe lasy w Sagilaw, są prawie całkiem zniszczone, a gdy ukończy się droga żelazna Oceanu Spokojnego, siekiera wytnie lasy Waszyngtonu i Orenoku. Koleje żelazne są nienasyconemi pożeraczami drzewa—potrzebują rocznie 150,000 akrów lasu!

W ciągu dziesięciu lat (od 1860—1870 r.) wytrzebiono na ich potrzebę 12,000,000 akrów gruntu leśnego. Opalanie mieszkań, niemniej znacząco wpływa na ubytek drzewa. Miasto Chicago, corocznie na swój użytek potrzebuje 10,000 akrów lasu. Jeżeli weźmiemy pod uwagę że Ameryka zużywa corocznie 8,000,000 akrów gruntu leśnego, a tylko 10,000 akrów zasadza drzewem, jasną jest rzeczą, że gospodarstwo to, musi doprowadzić do najopłakańszych skutków.

Lesseps w nocie złożonej paryskiej akademii nauk, przedstawił niektóre szczegóły, dotyczące projektu wykopania tunelu podmorskiego między Francyą i Anglią. Tunel ów powinien być według niego, zbudowanym w najwęższej części cieśniny Kaletańskiej, to jest między Calais a Duwrem. Długość jego wynosić będzie 50 kilometrów. Największa głębokość morza na linii przekopu, wynosi 58 metrów, owoż tunel pozostawać będzie o 50 metrów poniżej tej głębokości.

Towarzystwo zawiązane w celu wykonania tego olbrzymiego dzieła inżenieryi, złożonem jest z Francuzów i Anglików, i posiada 4 miliony franków,—koszta jednak ponieść się mające, będą o wiele wyższe od tej cyfry.

Zamykamy naszę rubrykę smutną dla nauki stratą—Karol Lyell, znakomity geolog angielski, zakończył życie 22 lutego r. b. Nasze pisma ilustrowane, pomieszczą wkrótce życiorys tego sędziwego i niespożytych zasług męża.

Wincenty Niewiadomski.

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

Kiedy ustanowiono tę jak ją nazywano *Inkwizycyą państwa* tego w żadnych dokumentach rzeczypospolitej znaleść nie można, a historycy nie zgadzają się co do daty jej powstania. Sandi stawia ją najpóźniej bo w roku 1539—Sismondi wywodzi jej początek razem z radą dziesięciu, inni oznaczają jej powstanie na lata 1411, 1412, 1432. Daru znalazł w archiwum Weneckiem taki dokument z datą 16 Czerwca 1454 roku. „Uznając pożyteczność, stałej instytucyi Rady Dziesięciu i oceniając trudność zbierania się jej w każdej okoliczności, w którejby niezbędna była, upoważnia ją wybrać trzech ze swoich członków z których jeden może być z Rady Doży, aby pod nazwą inkwizytorów stanu, spełniali obowiązki *sprawiedliwości i nadzoru* jakie samej Radzie Dziesięciu przysługują.“ Można więc przyjąć stanowczo że Rada Trzech już od 16 czerwca 1454 egzystowała i wypełniała swoje straszne obowiązki.

Była to instytucya stała, bo zamiary złośliwe spiskowców mogą być chwilowo zawieszone i na nowo rozpoczynane; działała pod powłoką tajemnicy, bo zbrodnie które miała karać w cieniu się knuły; nareszcie miała inkwizycyą ogólną to jest armią całą szpiegów i denuncyantów, gdyż jej zadaniem było wiedzieć o wszystkiem. Takto, mówi Galiberti, tyrania wywierała się pod pozorem ocalenia wolności. Lecz czyliż nie niszczy wolności kraj w którym trzej ludzie przed nikiem nieodpowiedzialni, mogą zgładzić tajemnie każdego z obywateli, który im się nie podoba i uderzyć nawet na naczelnika rządu.

Członkowie Rady Trzech zwali się zwykle prokuratorami, lud zaś bał się wymawiać ich nazwiska i zwykle wyrażał się o nich podnosząc rękę w górę: *I tre di sopra* (trzej z góry); dwóch z nich nosiło suknię czarną, jako członkowie Rady Dziesięciu, jeden czerwoną

jako radca Doży. Ztąd też mówiono — prokuratorowie czarni i prokurator czerwony. Władza ich była straszna i tajemnicza a tak wielka i potężna, że w końcu zagarnęła cały ster rządu w swoje kleszcze. Mogli stawić kogo chcieli przed swój trybunał, magnata, senatora, członka Rady Dziesięciu i Dożę samego, i wydać na niego wyrok śmierci. Stosownie do ich woli przestępca ginął od trucizny lub sztyletu, utopiony w kanale Orfano, ścięty w więzieniu, lub powieszony między dwoma kolumnami na piazzetta z wyrokiem wypisanym na zasłonie twarz pokrywającej. Wydawali oni swoje instrukcye, rządcom prowincyi, podestom, generałom i ambasadorom, z których każdy w dodatku musiał mieć przy sobie szpiega inkwizycyi. Każdy akt każda instrukcya przez nich wydana, znajdowała się w kopii w skrzynce zamknięta pod kluczem jednego z inkwizytorów dla porównania w danym razie z oryginałem. Jeśli szło o urzędnika wysyłanego za granicę, drugą kopię dostawał *obserwator*. Ambasadorowie obcych mocarstw przy rzeczypospolitej, musieli mieć również w domu swym szpiegów (rozumie się nie wiedząc o tem). Szpiegowie ci nazywali się eksploatatorowie i byli przy każdym pośle przynajmniej w liczbie czterech, by wiedzieć wszystko co się dzieje w ambasadzie. Ciekawe do dziś dnia przechowały się instrukcye dla całej tej zacnej falangi rekrutowanej we wszystkich sferach społeczeństwa, bo od magnatów i senatorów do żebraków i nierządnic. Naprzykład obserwatorowie mieli obowiązek, sprawować swoje rzemiosło głównie rano, *gdyż wtedy człowiek najbardziej jest skory do zwierzeń.*

Swoją drogą ktoby się ośmielił takiego eksploatora lub obserwatora, nazwać właściwem mianem, ulegał co najmniej karze kilkoletniego więzienia, jeśli nie śmierci.

Procedura tego trybunału była następująca, Denuncyacye składały się w pudełka umieszczone w paszczy lwów w pałacu dożów do dziś dnia tamże zachowanych, ustne zaś raporta składano jednemu z członków Rady.

Denuncyacye wyjmował z lwiej paszczy sekretarz i składał je członkowi Rady. Śledztwo prowadzono tajemnie, nigdy nie wzywając obwinionego, ani nie konfrontując go ze świadkami, a tylko aresztując go i osadzając przedwstępnie w studniach t. j. więzieniu podziemnem, lub w ołowiankach. Jeśli podsądny okazał się winnym, skazywano go na karę śmierci, którą albo wykonywano w więzieniu przez uduszenie za pomocą do dziś dnia egzystującego żelaznego aparatu albo topiono w kanale Orfano. W rzadkich wypadkach wieszano skazanego między dwoma kolumnami na piazzecie i to zawsze w nocy, tak że rano lud widział tylko wisielca z zakrytą czarną zasłoną twarzą i z napisem za jaką zbrodnię śmierć poniósł!

Jeśli chodziło o przestępstwo bardzo lekkie np. o rozmowę nieprzychylną dla władzy, to szlachcica zwykle skazywano na wygnanie z Wielkiej Rady na rok czasu, dwa lata lub więcej stosownie do okoliczności, a za powtórzenie przestępstwa czekała go niezbędnie kara śmierci. Wyrok taki znajdował przestępny w swoim pokoju, przybity sztyletem na stole, jedynie podpisany przez sekretarza Rady, której członków nie znał i której miejsce posiedzeń, również było tajemnicą. Doża dostawał również wyrok w ten sam sposób, lecz tylko na areszt domowy to jest na niewydalenie się z pałacu przez miesiąc, dwa albo więcej. Jeśli Doża popełnił ważniejsze przestępstwo, skazywano go na karę śmierci przez otrucie i kilka takich wypadków w dziejach Wenecyi spotykamy.

Cudzoziemcy w razie lżejszych przewinień znajdowali w swem mieszkaniu ostrzeżenie piśmienne że *powietrze jest dla nich niezdrowe w Wenecyi*;—znaczyć to miało że w ciągu doby powinni miasto opuścić. W wypadku niezrozumienia tego rozkazu, aresztowano ich i karano na równi z krajowcami. Jeśli artysta lub rzemieślnik zdolny wydalali się z kraju dla zarobku gdzieindziej, wtedy więżono najbliższych ich krewnych, zawiadamiając zarazem, upornie niewracających że po takim a takim czasie, aresztowani śmierć poniosą. Również ciekawem było i uwolnienie z więzienia zresztą bardzo rzadko się zdarzające. Strażnik wchodził wtedy do celi więźnia, i pytał go: co tu robisz? wynoś się stąd! kto cię tu wpuścił? Zdarzało się to z więźniami, którzy często całe lata jęczeli w podziemiach i którym tenże sam strażnik groził najstraszniejszemi słowami jeśli prawdy niepowiedzą.

Wszystkie te okropności, przechodziła jednak grozą instytucya delegowanych Rady. Jeśli przestępca zdołał uciec z kraju lub w kolonyach rzeczypospolitej się znajdował, wtedy wysyłano za nim delegowanego z zupełnem pełnomocnictwem Rady Trzech. Delegowany wtedy miał znak, za okazaniem którego każdy poddany i urzędnik rzeczypospolitej winien mu był bezwarunkowe posłuszeństwo. Kazał zabijać, zabijano; podpalać, wykradać papiery—każdy robił co mu kazano pod grozą straszne i tajemniczej kary. To też całe dzieje ludzkości nie przedstawiają straszniejszej i bardziej potwornej instytucyi.

Na próbkę postępowania Rady Trzech przytoczę dwa wypadki znalezione w dziejach Wenecyi Galibertego.

Malarz Genueński posprzeczał się w kościele, w którym pracował z dwoma malarzami francuskiemi o formę rządu w Wenecyi i o tyranię przez Radę Trzech wprowadzoną. Genueńczyk bronił rządu a francuzi go znieważali. Na drugi dzień rano Genueńczyka przyaresztowano i stawiono przed Radą Trzech.

— Czy poznałbyś dwóch Francuzów z którymi się wczoraj sprzeczałeś w kościele? badał go jeden z inkwizytorów. Nieszczęśliwy Genueńczyk, drżąc cały zapewniał, że on ani słowa przeciw rządowi nie mówił i że właśnie bronił go tylko. Tymczasem odsłonięto zasłonę i biedny malarz z największem przerażeniem ujrzał w sąsiednim lochu, dwóch wczorajszych towarzyszów swoich wiszących u sufitu. Potem jeden z inkwizytorów zalecił mu najściślejszą tajemnicę o całej tej przygodzie;—a również aby się nie wdawał w rozprawy o rządzie i ani go chwalił ani ganił, bo rząd sam da sobie radę i niczyich pochwał nie potrzebuje, a obrazę karać umie.

Książe Craon podczas pobytu w Wenecyi został okradziony i wyrzekał skutkiem tego w miejscach publicznych na niedbalstwo policyi. Otrzymał też zwykłe w takich razach ostrzeżenie (od Rady Trzech że l'aria di Venezia e cattiva powietrze Wenecyi jest niedobre). Nie czekając powtórzenia rozkazu na drugi dzień zebrał się do wyjazdu. Kiedy gondola która go wiozła była na środku lagun, znak dany przez Inkwizytorów z drugiej gondoli, wstrzymał go wśród drogi.

— Co znaczy ten znak? — zapytał swego gondoljera.

— Nic dobrego panie—odrzekł gondolier.

Jakoż zaledwie tych słów dokończył, druga gondola przybiła do jego statku, oświecona pochodniami i napełniona zbirami policyi.

— Proszę przejść do nas zawołał na księcia naczelnik zbirów.

Widząc że opór jest niemożliwy, książe przeszedł do złowróżbnej gondoli, polecając Bogu ducha.

— Okradziono pana zeszłego piątku?

— Tak.

— Ile panu zabrano?

— Pięćset cekinów.

— Podejrzeważ pan kogo o tę kradzież?

— Posłańca publicznego, który mi posługiwał.

— Poznałbyś go pan?

— Bez wątpienia.

W tej chwili naczelnik zbirów odkrył trupa, złożonego w głębi gondoli, trzymającego w zaciśniętem ręku zieloną sakiewkę z pięciuset cekinami.

— Oto złodziej pańskich pieniędzy i zwrócona pańska strata. Weź mości książe coś stracił, ale niech twoja noga nie postanie więcej w kraju, którego urządzeń ocenić nie umiesz.

(*D. n.*)

O DESZCZU
i
pokrewnych mu zjawiskach.

(Dokończenie).

Natomiast kilka słów poświęcić musimy ciekawemu zjawisku deszczów barwnych, czyli kolorowych. Jakkolwiek zjawiska te nie są zbyt pospolite, każdemu zdarzyło się zapewne słyszeć o deszczczach siarczystych lub krwistych, które wszakże pomimo tych nazw przerażających nic wspólnago nie mają ani ze siarką ani z krwią i w bardzo naturalny sposób wytłomaczyć się dają. Najprostszym zresztą a każdemu znanym objawem tego rodzaju jest po prostu woda brudna, jaką nam często deszcz przynosi. Atmosfera jest niezmiernym zbiornikiem, w którym nagromadzają się wyziewy najrozmaitszej natury; w czasie zwłaszcza długotrwałej suszy, podczas lata, powietrze silnie się zanieczyszcza i przepełnionem jest niezmierną ilością drobnych pyłków różnego pochodzenia. Otóż gdy po owej suszy spada deszcz, zabiera ze sobą owe pyłki, przepłukując niejako powietrze. Dlatego też pierwsza woda deszczowa, jaka się zbiera po długiej suszy jest brudną, niekiedy niemal czarną, tak że do wielu użytków domowych staje się zgoła niezdatną. Dopiero, gdy pierwsze deszcze oczyszczą atmosferę, woda spływa zupełnie czystą. Podobnąż zupełnie przyczynę mają i deszcze kolorowe. W czasie kwitnienia drzew iglastych w pobliżu lasów unosi się mnóstwo drobnego żółtego pyłku tych drzew; wiatry przenoszą go często w okolice bardzo odległe, a gdy woda deszczowa spłucze go i zniesie na ziemię barwiąc się nim na żółto, i deszcz staje się niby siarczystym. Gdzieindziej znowu wiatry unoszą z ziemi pył czerwony, mogący pochodzić np. z tlenku żelaza, pył ten zabarwiając deszcz na czerwono tworzy zjawisko deszczu krwistego. Często też zabarwienia te pochodzą od niesłychanie drobnych żyjątek, których całe roje porywane i unoszone są przez wiatry. Na morzu śródziemnem często pokłady i żagle okrętów obsypane są tym delikatnym pyłkiem złożonym z drobniutkich mikroskopowych zwierzątek, pokrytych pancerzem krzemionkowym, piaszczystym, a które zostały tu przeniesione z równin Ameryki połud. Tak przynajmniej twierdzi Erenberg, który za pomocą mikroskopu zapoznał nas z całym światem drobnych żyjątek, gołem okiem już niedostrzegalnych.

Cały ten ogół zjawisk, jakiśmy tu rozważali, stanowi olbrzymi obieg wody, która się w po-

staci pary wznosi z mórz i z wilgotnej ziemi, skrapla w wyższych warstwach atmosfery i spływa na ziemię. Woda spadająca z deszszem częścią się znów ulatnia, częścią spływa do jezior, rzek i mórz, częścią nakoniec wsiąka w ziemię, gdzie zasila wody podziemne, które w postaci źródeł na powierzchnię ziemi się wydobywają. Nadziemny i podziemny ten przepływ wód deszczowych prowadzi za sobą cały szereg potężnych działań, których skutek powolny ale stateczny zwolna nadaje inne wejrzenie całym pszestrzeniom ziemi. Tu zmywa gliny, tam unosi piasek, ówdzie ryje skały i pędzi ogromne głazy przed sobą a geologia uczy, jak drobne te działania trwające przez setki i tysiące, lat zwolna przetworzyły całą powierzchnię lądów.

W ten sposób wyjaśniliśmy główne zasady powstawania zjawisk wodnych atmosferycznych; człowiek jednak nie poprzestaje na zbadaniu i wytłómaczeniu zjawisk przyrody, pragnie on wszelkie jej działania dla swych celów zużytkować. A kwestya deszczu ma nader ważną stronę praktyczną, a tą jest odgadywanie, przepowiadanie przyszłej pogody. Człowiek jest istotą wątłą i słabą, czuje głód i pragnienie, dręczy go upał i zimno, dobrobyt jego lub nędza zależą od zmian atmosferycznych.

Rolnik rzuca ziarno w ziemię, poświęca mu wszystkie swe zabiegi, dostarcza mu najlepszego pokarmu, grunt spulchnia jak najgorliwiej, wszystkie swe nadzieje, cały swój kapitał w ziemi mieści—i z niepokojem spogląda na niebo, z trwogą patrzy w tę przestrzeń, nad którą moc jego żadnej władzy nie posiada, a skąd błogosławieństwo lub klęska ma mu napłynąć; zbytnia susza zarówno go przeraża jak i zbytnia ulewa, — jedna lub druga zniweczyć może najpiękniejsze nadzieje już w ostatniej chwili. Nic też dziwnego, że człowiek radby przejrzeć tę przyszłość tak blisko go obchodzącą i że tysiąckrotnie zawiedziony rozgląda jeszcze przepowiednie pogody, jakie z wytrwałością, do naśladowania godną, nie przestają podawać rozmaite kalendarze, upornie się trzymające starej rutyny. Przepowiednie te ukazały się wraz z pojawieniem pierwszych kalendarzy i stanowiły niegdyś najważniejszą ich rubrykę, kalendarze zwłaszcza krakowskie odznaczały się pod tym względem i z powodu swych przepowiedni słynęły po całej Europie i dotąd podobne kalendarze z przepowiedniami wydawane są w Niemczech pod nazwą Kalendarzy Krakowskich. Na wartości tych przepowiedni wcześnie wszakże poznać się już ludzie musieli, bo o jednym z najdawniejszych wydawców kalendarzy, Niewieskim, mówiono u nas:

„Nie zgadnie pan Niewieski,
Co zrobi Pan Niebieski."

Bądź co bądź przepowiednie pogody w barozo wielu kalendarzach przetrwały aż dotąd; pomaga im zapewne to, że są układane na zasadzie przysłowia „na dwoje babka wróży." Do ulubionych np. tu wyrażeń należą „pogoda wątpliwa,"albo miejscami deszcz, miejscami pogoda." W każdym razie skąd się te przepowiednie biorą, nauka nic o tem powiedzieć nie może i gotów jestem uwierzyć memu dawnemu nauczycielowi języka polskiego, który przez długi czas był korektorem w drukarni a który opowiadał, że przepowiednie pogody w kalendarzach układają większością głosów panowie towarzysze sztuki drukarskiej.

A jednak w tych samych kalendarzach mieszczą się przepowiednie zaćmień słońca i księżyca i w tych przepowiedniach Kalendarz nie myli się ani o minutę ani o jej drobną cząstkę, chociaż te ciała niebieskie toczą się w niepojętej od nas odległości.

A zjawisko deszczu jest tak prostem, dokonywa się tuż obok nas; powstawanie i spadek deszczu, tak się łatwo tłomaczy, gdzież więc szukać tej przeczyny, która najbliższą nawet przyszłość przed nami zakrywa, na czem polega ta trudność, która tylowieczne usiłowania człowieka w niwecz obraca. Przyczyną tą jest ruch powietrza, on to bowiem sprowadza nam deszcz lub pogodę. Gdyby powietrze było nieruchomem, i jakby przywiązanem do gruntu byłoby ono nad wodami wciąż nasyconem parą wodną i deszcz podałby tam za każdem oziębieniem, lądy zaś nieznałyby deszczu. Wiatr jest roznosicielem wody, czerpie się w okolicach ciepłych, aby ją zanieść nad kraje umiarkowane. a kiedy ją rozdzielił, rozpoczyna na nowo bezustanną swą podróż. Gdybyśmy znali ruchy powietrza równie dokładnie, jak znamy ruch ciał niebieskich, moglibyśmy przyszłość pogody przepowiadać z równą pewnością, jak i przyszłość zjawisk niebieskich. W każdym razie aby znać prawo rozkładu deszczów, znać trzeba prawa wielkich prądów powietrza, które nazywamy wiatrami, a o których może później pomówimy.

St. Kramsztyk.

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY
według wskazówek Froebla
PRZEZ
BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

Ogródek taki daje się urządzić niewielkim kosztem a jest on prawdziwem dobrodziejstwem dla niższej klasy. Wyrobnice wychodząc z domu zamiast zostawiania dzieci bez dozoru, prowadzą je do podobnego ogródka, wracając zaś z pracy, zabierają dzieci ze sobą.

Ogródek taki przyjmuje dzieci, od lat dwóch do siedmiu, z zastrzeżeniem, żeby w razie jakiej choroby i krost, dzieci nie przyprowadzać; do tego ubranie ich powinno być schludne i każde z nich przynosi z sobą w koszyczku śniadanie.

Nigdybyśmy nie skończyli, gdybyśmy chcieli przytoczyć tu wszystkie rodzaje zabaw, i zajęć w sali dziecinnej i ogródku; jeżeliby który z naszych czytelników, życzył sobie podręcznika ogródkowego, może go znaleść w dziełku pani Liny Morgenstern, pod tytułem: „Paradüs der Kindheit."

ROZDZIAŁ III.
Ogródek ludowy.

Ogródek ludowy, różni się od pierwszego tem tylko, że opłata za każde dziecię, wynosi na miesiąc parę groszy i że do niego więcej dzieci się zbiera, zajęcia jednak są tam jednostajne i tak urządzone, jak w ogródku dla dzieci zamożniejszych. Karność i porządek w niczem się nie różnią od wyżej pomienionych, a dobre skutki w takich zakładach wynikłe postaramy się wykazać, ze sprawozdania jednego z podobnych zakładów założonych w okolicach Berlina:

„W jednej z okolic Berlina, znanej z zepsucia obyczajów i nadzwyczajnego lenistwa mieszkańców, założyliśmy ogródek dziecinny, ale niestety żadne dziecko do niego nie przychodziło. Podczas Bożego Narodzenia, rodzice dowiedziawszy się o naszym projekcie, ubrania drzewka i rozdawania wszystkim upominków, tłumnie przybyli razem z dziećmi w nadziei hojnego datku. Jakoż każde z nich otrzymało parę bucików, lub inne ciepłe ubranie. To ich poniekąd zachęciło do regularnego uczęszczania do ogródka, ale z początku, jakiż że to obraz przedstawił się naszym oczom? Dzieci wszystkie brudne, nie uczesane, w najobrzydliwszych łachmanach; wszystkie prawie mówiły dialektem, tak zepsutym, że nie podobna było ich mowy zrozumieć, dotego biły się i drapały za każdem słowem. Cóż było począć? uzbroiwszy się w cierpliwość, zaczęliśmy od umycia ich i uczesania, potem, zauważywszy ich brudne łachmany—oświadczyliśmy im, że które z nich na przyszłość będzie czysto i porządnie ubrane, to dostanie, kilka nieszkodliwych łakoci, zapytaliśmy, które z nich ma przy sobie chustkę do nosa?

Okazało się, że dziesięcioro dzieci posiadało takowe. Tym zaraz w nagrodę za porządek, rozdaliśmy naprzód przygotowane pierniczki. Dziatki tak zachęcone, nazajutrz przyszły daleko porządniej ubrane, i wszystkie dostawały te nieszkodliwe łakocie, które tak łatwo i z tak małym kosztem w domu dają się zrobić, dzieciom żołądków nie psują, a silną są podnietą do dobrego postępowania.

W miesiąc, nie można było poznać tej całej zgrai zdziczałych zwierzątek. Twarzyczki umyte, uśmiechały się wesoło; rączki stały się tak zwinne, i tak zręcznie pracowały nad wykrajaniem rozmaitych figur z papieru, i tektury, że niktby, nieprzypatrzywszy się wprzód ich pracy, nie chciał wierzyć, że te ładne, i zgrabne robótki są dziełem ich drobnych rączek, zajętych wprzód, tylko przesypywaniem piasku, lub biciem, i drapaniem rówieników.

Na Boże Narodzenie, dzieci otrzymały pozwolenie, zaproszenia na gwiazdkę rodziców. Z jakąż radością całe zgromadzenie obstąpiło, ogromną choinę, jaśniejącą mnóstwem świateł? Każde z wychowańców ogródka, otrzymało podarunek składający się z ciepłego ubrania, bucików, jabłek, pierników, i t. p. rzeczy. Ale oczki ich nie przestawały śledzić za ogrodniczką, widać było na wszystkich twarzyczkach oczekiwanie i niecierpliwość. Wtem dzwonek dał się słyszeć, uszczęśliwione dzieci biegną do rodziców i radośnie prowadzą ich do dużego stołu, na którym znajdują się robótki wykonane przez nie same i przeznaczone jako upominek dla rodziców.

Są tam ładne pudełka wyklejane, robótki ręczne, słowem mnóstwo tych łatwych i ładnych robótek systemu Froebla, za pomocą których najmniejsze dziatki, mogą uskuteczniać ładne przedmioty, ozdabiające biedne mieszkanie.

Zdziwienie i radość rodziców były niedoopisania. Na wielu twarzach widzieliśmy łzy radości.

I to są owoce systemu Froebla; on nietylko zważa, na polepszenie moralności i dobrych obyczajów ale biorąc za zasadę, że człowiek tym jest lepszym, im bardziej jest do natury zbliżony, chce, ażeby przy każdej sali dziecinnej był koniecznie i ogródek w którymby dziecię mogło samo zasiewać, pleć, wyrywać chwasty i złe ziele, a w końcu i zbierać owoce swej pracy. Życzy i radzi trzymać w ogródku parę sztuk ptastwa domowego, lub gołębie którymby dzieci same pożywienie rozdawały; jednem słowem chce, żeby dziecię urodzone w mieście nabrało ochoty do zajęć polowych i miało o nich pojęcie.

Tu więc widzieliśmy dziecię w gronie rówienników, spójrzmy na nie w chwili gdy do domu powróci.

ROZDZIAŁ IV.
W kółku domowem.

Wesoło powraca dziecię do domu, ściska rodziców i młodsze rodzeństwo czulej niż

przedtem. Opowiadania jego, zajmują rodziców przez cały ciąg obiadu i z zadziwieniem spostrzegają oni, że dziecię wczoraj tak kapryśne u stołu, dziś sprawuje się grzecznie, siedzi spokojnie, wdzięczne jest za wszystko co mu dają. Skąd tak nagła zmiana? Z tego powodu, że malec nie nudził się przed obiadem, ale w towarzystwie rówienników, sam będąc ciągle w ruchu, myśl miał zaprzątniętą nowemi zabawami, których go uczono, i nie myślał wcale o psuciu i łamaniu swych zabawek. Przyniósł do domu ładne pudełko tekturowe, które z wielkiem staraniem dla mamy wykleił, opowiada braciszkom i siostrzyczkom, jak się buduje dom lub stajnia, w końcu uczy ich piosenki, którą im w ogródku ciocia Rózia śpiewała.

Wstają od stołu, dzieci wybiegają do swego pokoju, tu stoją dawniejsze zabawki, jako to: koń, żołnierze, lalki, forteca, szabla, kask i bębenek, wczoraj patrzył chłopak na te wszystkie skarby, z nieukontentowaniem, a dziś wskakuje na konia, bierze w rękę szabelkę na główkę kładzie hełm i jeździ wesoło po pokoju. Wtem przychodzi mu na myśl, że nie on jeden jest w pokoju, że młodsi braciszkowie życzyliby może dosiądź jego rumaka i pojeździć wkoło; zsiada więc i z uprzejmością zachęca ich do przejażdżki. Dlaczegoż to pierwej nie pozwalał zbliżyć się do swych zabawek? Co sprowadziło podobną zmianę? Ogródek Froeblowski kochani czytelnicy, on najdowodniej przekonał chłopczyka, że nie on jeden egzystuje na świecie, nauczył go, że i inni towarzysze mają te same chęci co i on, i że należy im też czasem dogodzić.

Chłopczyk z początku ze zdziwieniem przyjął tę prawdę, później zmuszony wprowadzić ją w życie, zastosował ją i do postępowania swego z młodszym rodzeństwem. W ogródku uczono go maszerować przy odgłosie bębenka w domu ma on też bębenek, dlaczegożby nie użyć go do tej zabawy? Ustawia więc braciszków i siostrzyczki w porządku i uczy ich chodzić podług taktu.

Mamy więc ogródek Froeblowski urządzony na prędce w domu.

Nabawiwszy się do woli, ustawia on swoje zabawki, żołnierzy cynowych układa w porządku do pudełek, konia odstawia na miejsce i sprząta wszystko. Rodzice patrzą na siebie i wydziwić się nie mogą, zmianie zaszłej w postępowaniu ich dziecka, które kilka dni przedtem, zachęcane do porządku, płakało grymasiło, i tupało nóżkami.

Dziewczynki nie inaczej postępują.

Powróciwszy do domu, panienka zajmuje się lalkami, ubiera je i rozbiera, każe im robić rozmaite ćwiczenia gimnastyczne, których się w ogródku uczyła—daje im kawałki drzewa uczy budować, jednem słowem przyjmuje na siebie postać ogrodniczki i zajmuje się gorliwie młodszem rodzeństwem i lalkami. Teraz właśnie przedstawiają drzewa orzechowe, w czasie silnego wiatru. Wszystkie dzieci trzymają podniesione do góry ręce, i poruszają palcami: przedstawiają wiatr igrający pomiędzy liśćmi. Nagle burza się zrywa i wstrząsa całemi drzewami, nietylko palce ale i ręce się teraz poruszają—wszystkie członki zaczynają być w ruchu, i klap, klap, orzechy spadają na stół; dziatki rączkami stukają po stole, skrzętnie szukają orzechów wśród śmiechu i ogólnej uciechy.

A jednak przed kilkoma dniami, bona musiała ukarać dziewczynkę, za to, że wcisnąwszy lalce oczy, urwała jej jednę nogę, ale wtedy dziewczynka nudząc się nie wiedziała co ma z lalką począć, dziś nauczona, nie potrzebuje już urywać jej członków, używa ona ich na inny cel, wyobrażają one teraz, jej przyszłe dzieci, lub uczennice, uczy je, instynkt macierzyństwa powoli się do jej serduszka wkrada.

Zapytacie zapewne jakiej kary użyto w ogródku dla osiągnięcia tak świetnego celu? Kary? taki srogi wyraz, nie postał nigdy w umyśle i na ustach Fryderyka Froebla, on całą swoją metodą pokazał, że nie karą, nie rózgą i rozmaitemi prywacyami, przychodzi się do pożądanego celu, ale zajęciem ciągłem dzieci i to zajęciem łatwem i praktycznem.

(*D. c. n.*)

SYN PANA MARKA.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

przez

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Ten tytuł, ze względu iż prababek naszych Alwara nie uczono, napisał zapewne jakiś pra-pra kawaler, aspirujący do antecesorki pani Markowej; a jak można wnosić ze stylu, działo się to jeszcze w owym cyklu historyi kulinarnej, kiedy smażono myszki na szałwii gotowano czarną kapustę z rodzynkami, i pieczono kurów pozłocistych.

Cykl ten odpowiada owej epoce, w której spijano *witpachery*, *rozekery*, *rywuły* i *malmazye*, a bóle i dolegliwości leczono *dryakwią weuecką*.

Po tem naukowo-archeologicznem objaśnieniu, każdy z was przyzna zapewne, że gospodyni wykształcona na tak klasycznych wzorach jak zacytowane wyżej przepisy, musiała znać wybornie tajemnice swej sztuki, mogła śledzić za historycznym jej rozwojem lub upadkiem, i że mogłaby z całą znajomością rzeczy, napisać historyę filozofii kuchni.

Chociaż znaliśmy osobiście panią Markowę, nie mamy jednak świadomości, o tem z jakiego punktu zapatrywała się na ten przedmiot, ale to możemy utrzymywać na pewno, że nie darmo w trzech sąsiednich powiatach słynęła jako wzorowa gospodyni, i że sferoidalny ciałokształt tak jej, jak i jej małżonka, brał swój początek z owych właśnie szacownych i starodawnych przepisów.

. . . .

Już słońce było dosyć wysoko, już pan Marek powrócił z pola, a pani załatwiała się w kuchni, gdy pan Władysław otworzył oczy, a powstawszy z łoża, przywdział na pół militarny swój kostyum, i wszedł do stołowego pokoju, gdzie go wszyscy z kawą oczekiwali.

Pani Markowa wyprawiwszy dzieci, uznała że jest to właśnie chwila najstosowniejsza do rozmowy.

Nalała tedy bratu szklankę wyśmienitej kawy, która według zdania znawców, o wiele lepszą bywała w Wólce niż w Warszawie, i zaczęła rozwodzić przed bratem długie jeremiady o swych kłopotach. Przedewszystkiem uznała za stosowne podziękować ukochanemu Władziowi za to, iż był tak dobry i na jej wezwanie natychmiast przyjechał, poczem wypowiedziała mu cel, dla którego go wezwała.

W konkluzyi oboje małżeństwo oświadczyli, iż całą przyszłość pierworodka gotowi są powierzyć w ręce brata z zamkniętemi oczyma, ufając jego rozumowi i doświadczeniu.

Tę prośbę pani Markowa poparła wymownem wejrzeniem, a następnie serdecznym siostrzanym uściskiem.

Było to rozrzewniające tableau.

Pan kapitan w objęciach siostry, niby Mars w uścisku Cerery. A chociaż Mars był nadto szczupły, a Cerera zbyt pełna, jednak pan Marek zachwycał się tym obrazem miłości i zgody braterskiej—łzy rozrzewnienia potoczyły się po jego policzkach, nie mógł się oprzeć sercu, które go ciągnęło, i.... otworzywszy ramiona, objął jednocześnie żonę i szwagra, mówiąc półgłosem:

— Ty mój Władziu... ty jeden... zrobisz z niego człowieka.

Wszyscy którym nie obcą jest wiadomość, że obywatel ziemski ma wrodzoną skłonność do rozrzewniania i sprzedaży zboża na pniu, nie zadziwią się temu rozrzewnieniu pana Marka, tem więcej, że szło tutaj o losy pierworodka, o przyszłość tego, który kiedyś miał być luminarzem i podporą całej rodziny.

Była to piękna grupa.

Wreszcie spleciona w serdecznym uścisku trójka rozpadła się na trzy odrębne jednostki, i potoki wymowy popłynęły z pod wysmarowanych wąsów kapitana.

Przedewszystkiem pan Władysław podziękował za zaufanie, jakiem go zaszczycono, a następnie, wygłosił długą tyradę, w której wyraził, iż pokierowanie losami młodzieńca w dzisiejszych czasach, jest bardzo trudnem zadaniem.

Oboje państwo Markowie kiwali smutnie głowami, a w myśli ich przesunęło się jakieś ponure widmo przyszłości, ukazujące im w nieodległej perspektywie jeszcze czterech infantów, o których kiedyś trzeba się będzie kłopotać.

Dalej, pan Władysław rozwinął szeroko rzecz o różnych zawodach, mówił o rolnictwie i o najeżonem cierniami życiu artysty, o medycynie i o literaturze, wreszcie o wielu innych powołaniach i zawodach dających chleb i utrzymanie.

W końcu zaś, zapytał o charakter i usposobienie chłopca, oboje jednak rodzice przyznali się w szczerości ducha, że niebadali swego pierworodka pod względem psychicznym, i że młody ten człowiek nigdy nie objawiał szczególniejszego zamiłowania do jakiej specyalności.

— To tylko Ci powiem mój Władziu, rzekł pan Marek, że strzela jak stary, i preferansa wcale nieźle rozumie.

Nie zadowolnił się jednak tą odpowiedzią pan Władysław, i prosił siostry, żeby go na parę godzin sam na sam z chłopcem zostawiła, a już on usposobienie Czesia wybada, i ostatecznie zadecyduje do czego ma największe zamiłowanie, czy do gospodarstwa, czy do handlu lub przemysłu.

— O co idzie, rzekł pan Marek, każę wam okulbaczyć konie, jedź z chłopakiem w pole, nagadasz się z nim i zobaczysz, że siedzi na siodle jak przyszyty... aż się dusza raduje jaki sprytny do koni.

— Dobrze, odpowiedział pan Władysław, a że co z głowy to i z myśli, więc jedźmy zaraz.

Matka nie oponowała, i rzecz była postanowiona bez apelacyi.

Zanim jednak Onufry przyprowadził dla pana Kapitana wierzchówkę, a dla Czesia lejcowego bułanka, zanim odnaleźli naszego bohatera, który się ani domyślając ważności chwili, wdrapał się na stodołę, aby tam studjować tajemnice architektoniczne bocianiego gniazda; pan Kapitan napił się wódki, zjadł przyzwoitą porcyę szynki i suszonych śliwek na rożenkach, i jeszcze z kwadrans pogawędził ze szwagrem.

Poczem na dziedzińcu zjawił się Czesio, wskoczył na bułanka, i pukając do okna zawołał.

— No, wujku, jedziemy...

Wujek siedząc już na siodle, rzekł do siostry.

— Tylko wrócimy, zaraz ci powiem.

Wreszcie wyjechali za wrota.

Już pan Władysław miał otworzyć usta, aby rozpocząć badanie, gdy Czesio skrobnąwszy prętem bułanka, zawołał.

— Ścigajmy się wujku!..

I zniknął w tumanie kurzawy.

— Dzielny chłopak, pomyślał pan Kapitan, i spiąwszy wierzchówkę pomknął za swoim siostrzeńcem.

Wpadli jak szaleńcy do lasu.

— A co wujku, dobra kasztanka? zawsze na niej jeżdżę z chartami, jak ojca nie ma w domu, bo ten bułanek potyka się trochę i nie lubię na nim jeździć.

— Słuchajno Czesiu!

— Słucham wujka.

— Wróciłbyś się do szkół?

— Niech je tam licho....

— A cóż ty będziesz robił?

— Będę w domu siedział.

— Ale was dużo, a ojcu ciężko, trzebaby pomyśleć o swoim kawałku chleba.

Czesio zatrzymał konia.

— Czemże ty będziesz?

Czesio milczał.

— Może sobie obmyśliłeś jaki zawód... co, nie?

— Nie —

— A czemże byś chciał być?

— Eh! jaki wujek nudny! a ja chciałem wujkowi pokazać.... upatrzyłem tutaj w łozie dzika.

— Przemyślny chłopak, pomyślał pan Władysław.

— A poszedłbyś ty do fabryki?

— On już tutaj siedzi trzy dni, wieczorem wychodzi na kartofle... i znów wraca...

— Co niepodoba ci się fabryka?...

— Ale ja go codzień wypatruję jak wraca, i trzymam go tu dla wujka, jutro zrobimy na niego polowanie.

— Ale jakże z fabryką...

— O!-o-o—widzi wujek, tutaj jest świeżuteńki ślad — widać do dnia musiał wracać z kartofli.

Egzamen szedł trudno, wreszcie na ostateczne zapytanie wuja co do fabryki, Czesio kiwnął głową, poczem zaczął opowiadać o nowowynalezionych przez siebie żelazach, w które już cztery kuny złapał, a piątą z pewnością będzie miał dzisiejszej nocy.

Czesio mówił z zapałem i z techniczną znajomością rzeczy, pan Władysław unosił się w duchu nad pomysłami siostrzeńca.

Gawędząc w ten sposób, wracali powoli ku domowi.

Wujek dowiedział się o różnych trutkach, sidłach i wabikach, co go tak dobrze usposobiło, że przyjechawszy przed dom, zsiadając z konia, rzekł do oczekującej go siostry.

— To będzie znakomity przemysłowiec.

Los chłopca był zadecydowany stanowczo.

V.

Wznosiły się tumany kurzawy na szerokim lipami ocienionym gościńcu, opadały, znowu się wznosiły jak białawe i lekkie obłoki, turkotały landary, bryczki i żółte wózki węgierskie.

W znanej nam Wólce, pan Marek, uczciwie jak gospodarzowi przystoi gości w progu witał, całując panie i panny po rączkach, a szanownych sąsiadów w policzki. Gorący to wieczór był, więc się łysina poczciwego hreczkosieja więcej niż zwykle świeciła, a mantynowa chustka na szyi zawadzała mu widocznie, gdyż ją często ruchem ręki i głowy poprawiał. Przed każdym pocałunkiem wąsy sobie porządnie fularem obcierał, a kłaniał się, a ściskał, i przyjmował z otwartemi rękami.

Bo niech tam co chcą mówią, ale na Podlasiu są bardzo gościnni ludziska, i jeżeli nie jesteś wierzycielem, komornikiem lub sekwestratorem, to możesz być najpewniejszym, że cię przyjmują nie obłudnie ale po staroświecku i serdecznie, wedle starego przysłowia: „czem chata bogata, tem rada.“

Goście przyjeżdżający do Wólki przyjmowani byli podwójnie: na ganku przez samego pana Marka, a w tak zwanym *salonie* przez gospodynię domu. Skoro się tylko drzwi otwierały pani Markowa z nieopisanym wdziękiem i uprzejmością podnosiła się z kanapy, witając pocałukami dostojne matrony i dorosłą progeniturę żeńską i podając tyle razy do pocałowania własne pulchniutkie rączki, ile razy wąsaty szlachcic schyliwszy się nisko, witał ją słodkim i mile brzmiącym komplementem. Pan kapitan, obok siostry, znajdował się w salonie, a dziewczątka uwijały się pomiędzy gośćmi, szeleszcząc perkalikowemi świeżo wykrochmalonemi sukienkami, świadczącemi o guście pani Markowej do kolorów różowych, i deseni w kwiatki.

Ciche ściany dworku zaczęły się ożywiać, rozmowa szła dość gwarno, a gości przybywało coraz więcej.

Taką samą koleją jak powiedzieliśmy wyżej, przyjętym został ksiądz Symforyan, proboszcz, z młodziutkim księdzem Hipolitem wikarym, znakomitym kaznodzieją i spowiednikiem ulubionym przez żeńską populacyą parafii, dla wysokich cnót teologicznych i niezwykłej bladości oblicza.

Tak samo przyjętym został jednooki pan Maciej z Woli Wrzeszczącej, człowiek zasłużony a nawet podobno członek jakiegoś zagranicznego towarzystwa, stary kawaler i mizantrop. Nie inaczej, a tylko z większą może estymą przyjęto i państwa Gzubskich z Wilczego Dołu. Ta arystokratyczna rodzina, której głowa, to jest pan Romuald Gzubski, był przed dwoma laty prezesem komitetu budowy mostu stałego na rzece Krznie, która już od roku wyschła, używała w powiecie ogromnej wziętości. Jakkolwiek pan Romuald ukończył już dawno prace w komitecie jednak sąsiedzi zostawili mu tytył prezesa, który zdobi aż po dzień dzisiejszy całą rodzinę właściciela Wilczego Dołu, i nadaje jej pewne prawo do wygłaszania przekonań arystokratycznych i ostrego gromienia wszystkiego, co tchnie przeciwnym żywiołem. Nie potrzebujemy dodawać, że panią prezesową sadzano na kanapie, miała ona potemu wszystkie prawa, prawa poniekąd nawet uświęcone zwyczajem, gdyż i w świątyni pańskiej zasiadała zawsze w tak zwanej ławce kolatorskiej, a podczas procesyi kroczyła tuż za baldachimem podtrzymywanym dostojną prawicą szanownego prezesa.

Oprócz rodziny państwa Gzubskich, przybyła także nie mniej znakomita rodzina państwa Sapajłów, od niepamiętnych czasów rywalizująca z Gzubskiemi o palmę pierwszeństwa co do arystokratycznego pochodzenia i godności. Sam pan Sapajło, herbu Miechy, pochodził z arystokratycznej rodziny, a ten splendor podniosła jeszcze jego małżonka z domu Trzeszczakówna. Pan Sapajło był, wprawdzie już bardzo dawno, ale był niewątpliwie, marszałkiem szlachty w powiecie Rosieńskim, w owych czasach kiedy jeszcze mieszkał na Litwie. Później, w skutek różnych okoliczności przeniósł się na Podlasie, i osiadł w nowo nabytej wiosce *Patyki Wielkie*, osiadł tam wraz z małżonką i dorastającym synem, a pomiędzy innemi rupieciami przywiózł ze sobą i tytuł marszałka, z którym się tak zrósł, że gdyby kto zawołał na niego po imieniu, nie byłby się nawet obejrzał.

Niczem nienawiść Montekich i Kapuletów, w porównaniu z rywalizacyą Gzubskich i Sapajłów, a los który jest bardzjej ironiczny niż wszyscy satyrycy od początku świata, obdarzył pana Gzubskiego córką, a pana Sapajłę synem, jakby pragnął okropności werońskiego dramatu odegrać po raz drugi na cichem i spokojnem Podlasiu.

To jednak trzeba przyznać, że obaj naczelnicy tych znakomitych rodzin odznaczali się niezwykłemi zdolnościami politycznemi, a żywiąc ku sobie wieczną nienawiść, nie szczędzili jeden dla drugiego komplementów i zapewnień dozgonnej życzliwości.

I czyż mogło być inaczej—czyż mąż dostojny i poważny, może uzewnętrznić na swem obliczu jakąś pospolitą małostkę, lub uczucie zazdrości, tak niewłaściwe dygnitarzom piastującym wyższe obywatelskie urzędy.

I teraz gdy pan Marek jeszcze nowych gości przyjmuje, pan Gzubski z panem Sapajło w najlepszej na pozór harmonii opowiadają sobie różne wiadomości najświeższe, i wnioskują o przyszłości Europy, nie oponując przeciwko temu, że pan Albin Sapajło rozmawia pocichu z panną Eufrozyną Gzubską, pieszcząc w ręku akurat taki sam ponsowy gwoździk, jaki tkwi w kruczych warkoczach panny prezesównej.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOSCI.

— Paryska Akademia Umiejętności wyznaczyła cztery tysiące franków nagrody, za napisanie rozprawy: **o znaczeniu liści dla wzrostu roślin.** W rozprawie tej, oprócz streszczenia dotychczasowych wiadomości w tym przedmiocie — powinny główne miejsce zajmować osobiste spostrzeżenia autora i jego doświadczenia. Termin złożenia rozprawy naznaczono na 1 stycznia 1876 roku.

— Rząd Austryacki, posiadając Wenecyą, rok rocznie wyznaczał sporą summę dla podtrzymywania jej murów, a głównie **pałacu Dożów**, zawierającego tyle arcydzieł sztuki i łączącego w sobie tyle wspomnień historycznych. Dziś pałac Dożów grozi zawaleniem się. Słaby grunt służący dla podtrzymywania fundamentów tego olbrzymiego gmachu, usuwając się pod niemi osłabia ich siłę — i spowodowywa liczne skrzywienia się ścian. Rząd włoski, który zaniedbał przez czas jakiś zajmowania się Wenecyą, zajęty co prawda ważniejszemi sprawami — obecnie spieszy z pomocą pałacowi Dożów, wyznaczając na jego restauracyą 750 tysięcy liwrów. Roboty mają być prowadzone przez dziesięć lat.

— Zeszłego miesiąca zmarł w Paryżu **Amadeusz Achard**, publicysta i romansopisarz.

— W dniu 22 marca b. r. odbyło się w Wenecyi odsłonięcie **pomnika Manina.** Borro, twórca tego pomnika, ozdobiony został przez ministra oświecenia włoskiego pana Boneti, reprezentującego króla podczas tej uroczystości,—orderem korony włoskiej.

— W dniu 27 marca, zmarł w Paryżu **Edgar Quinet.** Quinet był jednym z najpotężniejszych przedstawicieli uczonego świata francuskiego. Urodził się w Bourg 1803 r., pierwsze nauki odbył w kraju, po ukończeniu których udał się na uniwersytet Heidelbergski, podczas podbytu w którym, obeznał się dokładnie z językiem niemieckim i jego literaturą.

— Według **Gołosu**, w Ałuszcie, wsławionej sonetami Mickiewicza — a opuszczonej przaz ludność tatarską, osiedlają się licznie żydzi, którzy jako początek otworzyli tam pięć szynków — dotychczas był tylko jeden.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

DODATEK do Nr. 28-go „OGNISKA DOMOWEGO“.

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ.

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 27).

Gdy osiemnaście miesięcy temu, miejsce to zostało opróżnione, Temple Debenham, który właśnie wyszedł ze sławnej akademii, w *Zollenstrasse am Main*, opatrzony podwójnem świadectwem pierwszej klasy, podpisanem przez samego Wielkiego Księcia, zwyciężył przeszło trzydziestu współzawodników. Był to prawdziwy tryumf, a pensya, przerobiona na guldeny, przybrała pozór niemało znaczący w oczach towarzyszów nauk z tamtej strony morza. Cóż więc dziwnego, że zdolny, niedoświadczony, żądny chwały młodzieniec, który wierzył w ludzi, tak jak w siebie, wziął to niewielkie zwycięztwo, za świetną przepowiednię i sądził, że wstąpił na gościniec prowadzący do sławy i majątku.

Zresztą nie tyle cenił pensyą ile sam urząd. Czyż niczem było odrazu dostać miejsce i posiadać niezależne stanowisko, przy jednym z londyńskich kościołów? Czyż niczem było módz się podpisać: organista Ś-tej Hildegardy Męczenniczki? Jak pięknie wyglądałoby jego nazwisko z tym dopiskiem na tytule owej uwieńczonej kantaty, która zeszłego roku tyle sławy mu zjednała w Zollenstrasse.

Mówiliśmy już, że Temple Debenham był uczniem sławnej wielko-książęcej akademii, a że dawniejsze jego dzieje, mogą być w krótkości opowiedziane, wolimy więc odrazu się z tem załatwić.

Był jedynym synem wdowy i urodził się z nadzwyczajnemi zdolnościami do muzyki. Jak Mozart, z każdego instrumentu, jaki mu wpadł w ręce wydobywał dźwięki, kiedy jeszcze nie mógł przeczytać trzechzgłoskowych wyrazów; bazgrał nuty, długo przed czasem kiedy paluszki jego nauczyły się kreślić wyrazy i zdania. Dar ten wrodzony wzmagał się i rósł w siły z nim razem, rozwinął się bez nauki, bez sprzyjających mu okoliczności, owszem, wbrew licznym przeciwnościom. Nareszcie, powołanie jego tak się stało widocznem, że matka zaczęła myśleć o sposobach wykształcenia rzadkich jego zdolności.

Zdarzyło się jednak, że pani Debenham była zarazem ubogą i dumną; tak ubogą, iż ażeby taniej żyć i mieszkać, przeniosła się wraz ze swoim synem do maleńkiej wioseczki, zamieszkanej przez rybaków, na wybrzeżach wyspy Anglesey; a tak dumną że chociaż byłaby mogła, gdy przyjechała do S-t Owens, różne porobić znajomości, nie znała żywej duszy w całej okolicy. Grzecznie, ale stanowczo odrzuciła wszelkie stosunki. Żyła jedynie dla swego syna; czuwać nad nim, bawić go, pracować dla niego, trudnić się jego wychowaniem— było jedynym jej zajęciem.

Dla niego przeszła jałowe reguły łacińskiej gramatyki; dla niego walczyła z trudnościami arytmetyki i geometryi, i słabym krokiem wstępowała na przykre i strome szczyty poezyi łacińskiej. Po trochu, kiedy powołanie chłopca, coraz oczywiściej się przejawiało, matka jego wpadła w dziwny zamęt nadziei, powątpiewania i niepewności. Zaledwie mogła uwierzyć, żeby dziecko jej było obdarzone szczególnym talentem. Na tę myśl, serce jej biło, ale nietylko radością: czuła także trwogę, niespokojność, i trochę, choć bardzo niewiele, zawodu. Może pierwsze wychowanie niebardzo usposobiło panią Debenham do spoglądania z wyższego stanowiska na zawód artysty. Może, pomimo swego ubóstwa, marzyła o sposobach zapewnienia synowi wychowania uniwersyteckiego i zdobycia mu tym sposobem świetnego położenia. Był bowiem zdolnym, i inaczej być nie mogło; musiał byś zdolnym, żeby za pomocą tych zdolności dojść do sławy; ale być geniuszem, to zupełnie co innego. Pani Debenham nie była przyzwyczajoną do geniuszów, i może się ich trochę lękała. Czy artysta nie był rodzajem uzdolnionego szaleńca? Czy malarz mógł być ciekiem przyzwoitym, dystyngowanym? A człowiek dystyngowany, czy mógł pisać wiersze, nie po łacinie i nie po grecku? Czy było dowiedzionem, że Szekspir, Händel, i t. d. płacili swoje długi, i chodzili do kościoła jak inni ludzie? Takie, i tym podobne ważne zapytania, kosztowały panią Debenham niejedną łzę i noc bezsenną, ale nie była dostatecznie ani rozumną, ani doświadczoną, żeby na nie módz sobie odpowiedzieć.

Tymczasem talent chłopca coraz się wzmagał. Lubił stary piszczący fortepian matki, jak inne dzieci lubią piłkę lub latawca. Improwizować było dla niego równie łatwo jak oddychać, a napisać to co zaimprowizował tak naturalnem jak zagrać. Dla niego, jak dla wszystkich prawdziwych artystów, dźwięk i znak były jednem, i melodya płynęła z pod jego pióra, równie łatwo jak z pod jego palców. Z początku nie znał tego daru; używał go bezwiednie, jak ptaszyna śpiewu i cieszył się nim, myśląc tylko o radości chwilowej. Ale to długo trwać nie mogło, a matka, która patrzała jak mu się skrzydła rozwijały, drżała na myśl o dniu, gdy odkryje swą moc i wzniesie się w sfery, do jakich ona wzbić się nie potrafi. I tak się stało. Z czasem przyszło poczucie siły, a z tem poczuciem zrodziła się nieprzeparta wola. Nie miał jeszcze dwunastu lat, kiedy postanowił być artystą, a ona z obawą, z niejakim wstrętem, ale także zdumą i z uwielbieniem, poddała się jego życzeniom.

Starając się wywiedzieć, gdzieby jej syn mógł się odpowiednio wykształcić w obranym przez siebie zawodzie, pani Debenham powzięła wiadomość, że najlatwiej cel swój osiągnie pomieszczając młodego Templa w akademii w Zollenstrasse am Main.

Był to zakład, w którym pracowity uczeń ceną otrzymanych nagród mógł prawie opłacić wpisy; nietylko można tam było doskonale się wykształcić w swojej sztuce, ale także odebrać wszechstronne wychowanie, i z tego wszystkiego mógł młody Debenham korzystać nie opuszczając matki. Do tego, w Zollenstrasse życie było tańszem niż w S-t Owens nawet; powiadano że szyling mógł tam na dłużej wystarczyć jak gdzieindziej półtora. Po wielu więc obrachowaniach i wahaniach, wdowa wraz z synem udała się do tej ziemi obiecanej i przebyła tam blisko jedenaście lat, w ciągu których młodzieniec wyrósł, nauczył się doskonale po niemiecku, przykładał się do nauk klasycznych, i korzystał ze wszystkich wykładów i ćwiczeń, jakie w zakresie muzyki odbywały się w akademii; a muzyką właśnie celowała akademia w Zollenstrasse am Main. Byli tam nauczyciele kontrapunktu, orkiestracyi, śpiewu, gry na każdym instrumencie istniejącym pod słońcem, nie wyłączając nawet cytry i oboju, gdyby się znalazł amator, mający ochotę na nich się wprawiać. Jednem słowem, kto chciał pracować, mógł do wszystkiego dojść w Zollenstrasse, a ten kto się nie wydoskonalił w gałęzi przez niego wybranej, siebie tylko mógł obwiniać.

Temple Debenham chciał pracować, za pracą właśnie tęsknił w Ś-t. Owens, i oddał się jej z całą energią silnej woli i śmiałej natury. Brał lekcye na fortepianie, na skrzypcach i na organach; należał do wszystkich chórów; obeznał się z własnościami i przymiotami każdego instrumentu w orkiestrze. Wnikał z nienasyconą ciekawością w najgłębsze tajniki sztuki, i nie dość mu było nauczyć się reguł harmonii wedle systemu używanego w Zollenstrasse; sam badał pierwotne źródła sztuki, dzieła Martiniego, Tartiniego, Albrechtsbergera, Pepuscha i innych na wpół zapomnianych autorów, których zakurzone księgi rzadko schodziły z pułek akademickiej biblioteki. Ta niczem niezwyciężona pracowitość wydawała swoje owoce. Na końcu trzeciego roku dostał dwa medale, na końcu czwartego nagrodę dwieście guldenów, którą zapłacił wpisy piątego roku, a w tym piątym, zdobył drugi złoty medal, w szóstym zaś trzechletnie stypendyum. Gdy te trzy lata upłynęły, był najpierwszym uczniem, i przez dwa ostatnie lata nauk, był już drugim profesorem kontrapunktu, i drugim skrzypkiem w orkiestrze Wielkiego Księcia.

Przepędziwszy jedenaście lat w Zollenstrasse, Temple Debenham nagle objawił postanowienie powrócenia do Anglii. Przyjaciele i koledzy niezmiernie się zdziwili tą wiadomością. Profesorowie perswadowali, współuczniowie perswadowali, matka perswadowała. Nie mogli uwierzyć żeby rzeczywiście miał ten zamiar; był to według nich rodzaj samobójstwa. Ich zdaniem Temple powinien się był poświęcić akademii, i osiąść na całe życie w Zollenstrasse. Czyż nie był pewnym, że niedługo zostanie pierwszym profesorem, z pensyą roczną osiemset guldenów i mieszkaniem. Profesorowie zwykli trzymać uczniów na stancyi, a on mógł być pewnym, że ich zawsze dużo mieć będzie. Kapelmistrz księcia zaczynał być niezdolnym do pełnienia swoich obowiązków, a Debenham był tak dobrze widzianym w zamku, że mógł do innych nadziei dołączyć możność tego dziedzictwa. Cóż to za przyszłość! Tysiąc guldenów na rok, „Von“ przed swojem nazwiskiem, a przy dziurce od guzika zielona orderowa wstążeczka.

Ale wszystkie te względy nie mogły skusić młodego człowieka. Rozważył rzecz całą, i gdy powziął postanowienie nic go od niego nie mogło odwieść. Miał lat dwadzieścia cztery i zdawało mu się, że może już osądzić co mu czynić wypada. Nie miał żadnej ochoty związania swoich losów z akademią. Potrzebował szerszego widnokręgu; chciał się dostać na to pole, gdzie najzaciętszy zdobywa pierwszeństwo, najsilniejszy zwycięża, gdzie można swobodnie los swój wywalczać. Zollenstrasse zrobiło co mogło: dało mu wychowanie i do pewnego stopnia przywiązał się do tego miejsca, ale nie myślał zespalać się z niem na wieczne czasy. Myśl zostania przez całe życie niemieckim profesorem była mu nieznośną. Znudzony już był etykietą, plotkami, artystycznemi i literackiemi wieczorami, tysiącem nędz, wreszcie zazdrościami niemieckiej stolicy dziesiątego rzędu. Nie miał żadnej ambicyi zostania przyszłym kapelmistrzem Wielkiego Księcia, i co gorsza nie pożądał wcale zielonej orderowej wstężeczki

Doradcy Templa Debenhama napróżno robili mu uwagi i nareszcie obrazili się jego uporem. Jeżeli był głuchym na najlepsze rady i ślepym na własne swoje dobro, niebyło to ich winą. Wszystko co mogli zrobili, żeby go uchronić od nieszczęsnego błędu, a jeżeli koniecznie chciał się zgubić, cóż ich to obchodziło. Nawet matka, wcale nie była przeko-

naną o mądrości postanowienia swego syna. Przypomniała mu, że opuszczał *pewne* dla *niepewnego*, rzeczywistość dla mrzonki, że w Niemczech można było się utrzymać prawie o połowę taniej jak w Anglii; że był już *czemś* w Zollenstrasse, a znajdzie się *niczem* w Londynie, i wiele innych rzeczy. Ale wszystko napróżno.

— Darmo to mówić, matko — powiedział. Zollenstrasse nie jest miejscem dla mnie. Jestem stworzony do czegoś lepszego. Może nie potrafię osiągnąć tego lepszego, ale w każdym razie, muszę spróbować. Nie mówmy o tem więcej.

Kiedy Temple Debenham powiedział, że musi coś zrobić, niezawodnie to uczynił, a wdowa wiedząc, że lepiej odrazu się poddać, nie sprzeciwiała się już odtąd postanowieniu syna. Wziął więc dymisyą ze swego profesorstwa i z miejsca w wielko-książęcej orkiestrze, zapakował nuty i medale, dostał podwójne świadectwo pierwszej klasy z pieczęciami, podpisami, szumnemi formułami i pożegnał maleńką stolicę, która była jego siedzibą przez blisko lat dwanaście.

Tak uzbrojony przeniósł się z Zollenstrasse do Londynu i wraz z matką najął skromne mieszkanie, śród ogrodów, koło Canonbury, w bliskości Islington. Wtedy to, zgodnie z tem dziwnem prawem, że pierwsze zabiegi początkującego, bywają zwykle pomyślne, Temple Debenham rozpoczął z powodzeniem swój zawód w Londynie. Zaledwie w trzy tygodnie po przyjeździe wyczytał w kolumnach *Timesa*, że potrzebowano organisty w kościele parafialnym Ś-tej Hildegardy Męczenniczki. Zapisał się zaraz na listę ubiegających się o to miejsce, i dzięki doskonałej grze i świadectwu pierwszej klasy, odrazu prześcignął innych konkurentów.

Była to pierwsza jego wygrana w wielkiej loteryi londyńskiego życia, ale w miarę jak czas ubiegał, zdawała się też być ostatnią. Widzieliśmy już jak wielkie były jego nadzieje i jak w pierwszem upojeniu pierwszego powodzenia przesadzał nietylko obecne swoje położenie, ale i widok ina przyszłość. Było to jednak nim odkrył, że zwykłe zebranie pobożnych u Ś-tej Hildegardy, składało się z czternastu osób nie rachując zakrystyana i szwajcara. Osiemnaście miesięcy upłynęło od tego czasu i zapał miał czas ostygnąć. Zajęcie jego nie przysporzyło mu znajomych a wszystkie jego próby, żeby się dać poznać jako kompozytor zawiedzionemi zostały. Wiele pracy naprzykład poświęcił tej kantacie, którą z bijącem sercem zostawił u drzwi sali Komitetu w Exter Hall. Ale nakładcy są nieśmiałymi, a towarzystwa muzyczne trudne w wyborze, i wielkie dzieło, ciągle odrzucane, nie zyskało jeszcze sławy. Od tego czasu napisał symfonią a teraz pracował nad operą. Gorliwość jego jeszcze nie osłabła, zaufanie w własny talent istniało jeszcze bez skazy. Posiadając doskonale swoję sztukę, bogaty w pomysły, w uczciwą ambicyą, w nadzieję, jakżeby nie miał znać siły jaka w nim spoczywa? Czuł się naturalnie głęboko upokorzonym gdy ta pod nieszczęśliwą gwiazdą zrodzona partycya odsyłaną mu była przez honorowego sekretarza tego lub owego towarzystwa. Może nawet czasami z trudnością zatrzymał łzę żalu, ale w ogóle dzielnie znosił swe porażki, i jak tylko odepchnięto go z jednej strony, zaraz próbował z drugiej. Jeżeli kantacie się nie powiodło, symfonia mogła być szczęśliwszą; jeżeli symfoni nie lepiej się udało, miał swą ulubioną mszę w *G moll*, a oprócz tego niewyczerpany zapas *lieder ohne worte*, śpiewów, madrygałów, duetów, kwartetów, i t. d. Czyż myśli niewyczerpane nie roiły się po jego głowie, i czy nie posiadał niezłomnej woli dojścia do rozgłosu i sławy— jakim bądź sposobem?...

ROZDZIAŁ II.

Dzienna praca.

Kiedy Temple Debenham odwrócił się od słońca i świeżego powietrza i zamknął w ciemnym kościele, czuł wstręt wewnętrzny, przeciw któremu dumna jego pracowitość oburzała się. Był zmęczony i nie chciał się do tego przyznać. Gniewał się nawet na siebie za to pragnienie, ciągnące go do świata na zewnątrz. Z własnej woli zostawał; skończył pracę dzienną, mógł swoim czasem rozporządzać, mógłby odejść gdyby chciał. Gdyby tylko zamknął z zewnątrz Ś-tą Hildegardę, jak ją zamknął z wewnątrz, mógł się udać do którego z parków lub nad rzekę, według tego, coby mu było przyjemniejszem. Ale wolał zostać w ciemnym kościołku, kiedy skończywszy lekcyą i odprawiwszy dzieci, mógł korzystać z organów, dopóki mu się podobało, nie obawiając się, żeby mu kto przeszkodził. Był to właśnie jeden z przywilejów jego położenia, i więcej go cenił od swoich dwudziestu pięciu funtów rocznej pensyi; bo nietylko, że nie posiadał organów, ale nie miał nawet własnego fortepianu, a jednak, grać na jakim instrumencie, było dlań rzeczą równie niezbędną do życia jak jeść lub spać. Oprócz tego ciągle komponował, a dzień w dzień, przelewać swe myśli na niemy papier, nie słysząc dźwięku tych myśli, byłoby to uczyniło tę pracę zbyt uciążliwą. To też Temple Debenham wielce dbał o swe prawa i przywileje i niemało je cenił.

Tego wieczora jednak był prawdziwie znużonym i potrzebował odpoczynku. Dzień ten cały poświęcił ciężkiej pracy, którą wcześnie zaczął. Wstał o piątej, i usiadłszy przy oknie w swoim pokoju, pracował przez dwie godziny nad jednym z chórów swej opery. Był to podwójny chór, śpiewany przez mnichów i żołnierzy, z dziwnym, starym hymnem gregoryańskim, biegle wplatanym pomiędzy różne części, i z marszem w akompaniamencie, prawdziwie wielkie dzieło z towarzyszeniem bębnów, cymbałów i najgłośniejszych efektów orkiestry, co wszystko sprawił po cichu, za pomocą ołówka i kilku arkuszy liniowanego papieru. A jednak, kiedy młody człowiek tak siedział przy otwartem oknie, oddychając świeżem rannem powietrzem, czasem spoglądając na ogrody ścielące się u nóg jego, czasem szybko znacząc kilka taktów skomplikowanej melodyi, ucho jego wyraźnie pojmowało bicie w bębny, dźwięk cymbałów, i t. d.

Tak je słyszał, jak gdyby orkiestra i chóry stały pod jego oknem, a przed oczami widział cały teatr, grę aktorów, hełmy o wysokich piórach, świetne zbroje, krzyże i chorągwie rysujące się na jasnem tle nieba. Umysł ma także swoje zmysły, tajemnie uzdolnione do widzenia i słyszenia. Malarz stojący przed czystem płótnem widzi już swój obraz zupełnie ukończony, widzi go nie bez wysilenia, ale jak najwyraźniej, z grą kolorów, światła i cieni. *Widzi*, i widzi tak dokładnie, że fizyologowie nieraz się zastanawiali, czy obrazy tak stworzone przez wyobraźnię, nie odbijają się rzeczywiście na siatce oka. Tak samo się dzieje z artystą muzycznym. Wszystkie te części, skrzypce, głosy ludzkie, bębny, a pomiędzy niemi instrumenta dęte i rznięte, naznaczone na papierze, tworzą dla oka nieobeznanego choas niezrozumiały; on zaś jednem spojrzeniem, wszystko to uszykuje w swej myśli, usłyszy melodyą przelatującą z jednego instrumentu na drugi, oceni każdą nutę, rozbierze każe przejście, pojmie najdelikatniejszy odcień, jednem słowem *usłyszy* cały utwór, zmysłem równie doskonałym i tajemniczym jak ten, którym malarz widzi przyszły swój obraz. Dziwna-to, na pół boska moc talentu, moc dana niektórym w pewnym stopniu tylko, czasem zupełnie odmówiona, ale posiadana przez wybranych a między nimi i przez Templa Debenhama w całej swej sile. To też kiedy tak co rano przelewał na papier swe nieme symfonie i chóry, tak dokładnie czuł wrażenie jakie uczynią, jak gdyby całą rozrządzał orkiestrą.

W podobny sposób przepędziwszy dwie godziny, młody człowiek chował papiery do szuflay, zatrzymywał się chwilkę przed drzwiami pokoju matki, żeby ją powitać, spiesznie połykał filiżankę zimnej herbaty pozostawionej dla niego i szybkim krokiem zmierzał do City. Było już wtedy wpół do ósmej. Omnibusy i urzędnicy nie zdążali jeszcze do miasta, i właściciele sklepów ledwie okienice otwierali, droga, tak ożywiona i zaludniona w parę godzin później była jeszcze pustą. O pięć minut przed ósmą organista, punktualny jak sam pastor, siedział przy swoich organach i nabożeństwo poranne odbywało się wobec zgromadzenia złożonego z pięciu wiernych. Potem udawał się do posępnego domu położonego na rogu Finsburg Square gdzie dwa razy na tydzień udzielał lekcye na fortepianie dwóm młodocianym córkom jednego z radnych parafii. Dla Templa Debenhama lekcye te były źródłem gorzkiego cierpienia, najboleśniejszym ciężarem, jaki na niego wkładało ubóstwo. Radny był rzeźnikiem w parafii Świętej Hildegardy; żona jego ważyła osiemnaście kamieni. Byli to najpoczciwsi ludzie, ordynarni, lubiący okazałość, nieznośni dla nieszczęśliwego organisty, skazanego przez los nienawistny na takie stosunki. Życzliwa ich gościnność drażniła go, mowa pospolita oburzała, pieniądze jakie musiał odbierać od nich przejmowały go uczuciem wstydu. Pokrywał jednak swój wstręt milczeniem i niewyjawiał go zwłaszcza przed matką, któraby więcej jeszcze od niego cierpiała.

Nim się ciężka próba na Finsburg Square skończyła przyszło południe; dzień był skwarny, słońce ciskało ogniste promienie a Temple Debenham musiał o drugiej być w kryształowym pałacu, gdzie bez najmniejszego wynagrodzenia i w nadziei tylko, że da poznać swoje zdolności, co drugi dzień grywał na wielkim o podwójnem działaniu fortepianie pp. Stumpf i Hammerfest. Mało kto mu się przysłuchiwał, nikt go nie ocenił, nigdy nic na tem nie zarobił, a że był zanadto ubogim, żeby sobie pozwolić przyjechać obnibusem, w przeciągu trzech miesięcy zdarł więcej par butów niż w Zollenstrasse am Main przez rok cały. Ale że rodzaj dziwnej zaciętości leżał na dnie charakteru tego młodego człowieka, trzymał się uporczywie tej słabej nadziei, i trzy razy na tydzień regularnie przechodził po drodze do Sydenham, w deszcz, wiatr, kurz czy słońce. Ta droga nigdy tak długą, nużącę, zakurzoną mu się nie wydała jak w ten gorący dzień czerwcowy; nigdy publiczności wielko-brytańskiej tak ospałej i obojętnej nie znalazł, i nigdy olbrzymia szklana kopuła tak mu nie była nieznośną. Temple Debenham z trudnością wykonał swoje zadanie. Wielki, o podwójnem działaniu fortepian pp. Stumpf i Hammerfest przejmował go wstrętem; z nienawiścią prawie spoglądał na młodą osobę o jasnych oczach, która po Sonacie Patetycznej powiedziała:

— Jakie to ładne! i prosiła go o odegranie *Il Bacio*.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою.